-1914 r.

ŁÓDŹ, 1914. Cena egzemplarza kop. 25.

ŻYCIE ŁÓDZKIE

JEDNODNIÓWKA

POD KIERUNKIEM LITERACKIM ANDRZEJA NULLUSA.

Skład główny w biurze dzienników „PROMIEŃ", Piortkowska 81, tel. 12-00.

ŁÓDŹ, 1914. Cena egzemplarza kop. 25.

ŻYCIE ŁÓDZKIE

Dewiza: Przez ogień—w blask.
Kornel Ujejski.

Motto: Rozpaczającym niewolnikom biada.
Marja Konopnicka.

JEDNODNIÓWKA
POD KIERUNKIEM LITERACKIM ANDRZEJA NULLUSA.

Skład główny w biurze dzienników „PROMIEŃ", Piotrkowska 81. Telefon 12.00.

Którzy idziemy...

SŁOWO WSTĘPNE REDAKCJI.

Gdy śród zgrzytu maszyn, zgiełku kupczącego tłumu, na gruncie, przesiąkłym błotem, łzami i krwią zrodzi się KRÓLEWSKIE SŁOWO, dumne, niedostępnie arystokratyczne i harde, rzec można, a priori, iż zgłuszą je wrzaski brutalnego życia, a tłuszcza zuchwałych pigmejów ukamienuje je pogardą swą i lekceważeniem.

Albowiem szaleństwem jest podnosić w atmosferze oparów brudnego dymu i trujących wyziewów fabrycznych nieskalanie biały PROPORZEC MYŚLI.

Tam, gdzie słońce rzadko pieści wyboisty bruk miejski swym promiennym całunkiem, gdzie sztuka, jak dziewka ladaczna jeno wstydliwie jest tolerowana, gdzie chamstwo duchowe i ignorancja walczą o lepsze z bezczelną arbitralnością przekonań, grzechem jest mówić prawdy, idące z głębi cierpiącego serca.

Dlaczego więc wydajemy JEDNODNIÓWKĘ naszą, z jakiej okazji i poco?...

Komu jest ona potrzebna, kto będzie ją czytał?...

Takie pytania słyszeliśmy na długo jeszcze przed wydaniem naszego pisma...

Czasem były one niespokojne, czasem drwiące lub... surowe.

Oto nasza odpowiedź: wydajemy, albowiem jesteśmy szaleni i grzeszni!...

Choć wiemy, że ogół łódzki, ten potwór potężny o półmiljonie głów, którego życie płynie pomiędzy nędzą przedmieść a błyskotliwym przepychem śródmieścia, nie łaknie SŁOWA i zgoła za Niem nie tęskni.

Żali niema oliwy dla maszyn i złota dla zadowolenia swych potrzeb?

Czyż masywne drzwi pałaców wyważone zostały wściekłem ramieniem głodnej ciżby?

Nie, po stokroć nie; w Łodzi jest wszystko w porządku...

Z głodu zdychają uczciwi i światli, a kłamstwo tryumfuje, jak zawsze: odświętnie przystrojona powszedniość zadaje sztuce śmiertelne razy i rany nieuleczalne, straszliwe...

W Łodzi jest wszystko w porządku. Jakiem więc czołem wydajemy, szaleńcy, JEDNODNIÓWKĘ?

Wydajemy ją, bo przy dźwięku noworocznych dzwonów, gdy ludzkość odwiecznym zwyczajem rzuca w otchłanie niepamięci zawody i bóle lat ubiegłych i promiennem okiem wpatruje się w krwawą jutrznię wschodzących losów, chcemy powiedzieć to, co z głębi ducha rwie się buntowniczym okrzykiem na zewnątrz.

Ci, którym przypadł w Łodzi ciężki obowiązek pchania taczki publicystycznej—przemówią z kart Jednodniówki szeregiem artykułów o sprawach łódzkich i o tych reminiscencjach, co z dna serc idą górnym pędem w półmroczną godzinę dumań.

A obok nich młodzi...

Którzy idą...

Którzy kłam chcą zadać tradycji o atrofji kulturalnej, panującej na gruncie łódzkim dotąd niepodzielnie...

Którzy z czasem zagarną w swe dłonie ster życia Łodzi i na nowe skierują je tory...

Wydajemy Jednodniówkę naszą chcąc cisnąć obojętnym rzeszom w twarz harde nasze SUMUS... Nasz parol bitewny: „KTÓRZY IDZIEMY!"

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Może to wszystko mrzonka, piękna, ale nieprawdziwa?...

Może słuszność jest po stronie hyperpraktycznych „lodzermenschów"

Może nigdy nic się u nas na lepsze nie zmieni, i Łódź—zawsze pozostanie przykrem, acz chwilowem miejscem pobytu ludzi na „dorobku"...

Może nigdy nie ukochają dzieci Łodzi surowego w swym nieubłagalnym tragizmie życiowym miasta.

Może obłąkani Prometeusze (jeśli się kiedy tu narodzą) wyrywać się będą z dławiących więzów życia rodzinnego miasta, a Łódź zajęczy im świstem syren fabrycznych na pożegnanie Izajaszowe przejmujące słowa:

„Filios enutrivi et exaltavi ipsi autem spreverunt me!"

— — — — — — — — — — — — — — — — —

Nie wiemy, i odrzucamy to przypuszczenie od siebie...

Bo...

Bo... w takim razie, zaprawdę jesteśmy szaleni, wydając JEDNODNIÓWKĘ naszą.

J. B.

Życie towarzyskie w Łodzi.

Życie towarzyskie daje nam tyle korzyści, posiada tak wielkie zalety, że trudno dziś wątpić o jego konieczności i potrzebie.

Przedewszystkiem życie towarzyskie jest najlepszym i najskuteczniejszym środkiem dla poznania ludzi, ich pragnień, potrzeb i dążności; słusznie więc powiedział ktoś, że życie towarzyskie jest najlepszym nauczycielem psychologji.

Dzięki życiu towarzyskiemu mamy możność poznawania i porównywania charakterów naszego bliższego i dalszego otoczenia.

Dzięki niemu poznajemy nowych ludzi, przejmujemy od nich wiele ciekawych wiadomości, pogłębiamy naszą wiedzę i poznajemy lepiej świat, co oddaje nam w życiu nieocenione usługi.

Wzajemne poznanie, wyczucie i zrozumienie jest rzeczą nieodzownie konieczną w życiu teraźniejszych społeczeństw; dzięki nim życie nasze otrzymuje bieg daleko prawidłowszy, spokojniejszy i normalniejszy.

W bliższem zetknięciu się z różnego rodzaju ludźmi nabieramy z czasem uprzejmości, wyrozumiałości, i uczynności. Dzięki tym wszystkim cennym zaletom, życie towarzyskie staje się prawdziwą mistrzynią cnót społecznych i obywatelskich.

Słusznem jest więc twierdzenie, że stopień rozwoju życia towarzyskiego sta-

nowić może miarę naszej kultury społecznej.

Wszystkie te sądy i zdania należą do rzeczy najbardziej znanych i popularnych. Wynikałoby z tego, że nie pozostaje nic innego, jak stosować je w życiu,

Cóż jednak widzimy w Łodzi?

Obecny stan życia towarzyskiego w Łodzi dowodzi tylko, że stoimy jeszcze na bardzo nizkim szczeblu kultury.

Bo oto proszę posłuchać:

Koniecznymi warunkami normalnie płynącego życia towarzyskiego jest wyrozumiałość i względność dla słabostek i wad swych bliźnich,

W Łodzi uczucia te są w takiej poniewierce i zaniedbaniu, że otrzymuje się wrażenie jakby ich wcale jeszcze nie znano. Wzamian otacza się pieczołowitą opieką i hoduje gorliwie dwa tak odmienne, ujemne i odrażające rysy charakteru ludzkiego, jak złośliwość i arogancję. Nie ulega wątpliwości, że w życiu towarzyskiem wymaganą jest choć odrobina taktu, że bez niego nie może się ono rozwijać należycie i przynosić oczekiwanych korzyści.

Cóż, kiedy nie mamy go w Łodzi, jakby na złość, ani na lekarstwo.

Wzamian za takt towarzyski, szczodra, lecz ślepa, w tym wypadku, natura hojnie obdarzyła łodzian grubiaństwem, nieprzyzwoitością, popędliwością, chęcią narzucania swych zdań i sądów, przeczuleniem nerwowem i zbytnią drażliwością.

Ale to jeszcze nie wszystko.

W Łodzi wszystko rozstrzyga rubel

Rubel tworzy kategorje społeczne, rubel wywyższa niezasłużenie ludzi, rubel zasłania i usuwa na plan dalszy prawdziwie zasłużone jednostki, rubel zastępuje wychowanie, wykształcenie i inteligencję.

Nędzarz korzy się przed posiadającym cośkolwiek, ten pada plackiem przed człowiekiem zamożnym, który bije pokłony i gnie posłusznie kark przed bogaczem. Różnice majątkowe stanowią, w łódzkiem życiu towarzyskiem, przeszkodę nie do przezwyciężenia. Takiej hierarchji, że tak powiem, rublowej, niema chyba w żadnem innem mieście.

Cóż widzimy w rezultacie?

Do niedawna jeszcze można było twierdzić, nawet z całą stanowczością, że życie towarzyskie w Łodzi nie istniało i nigdy istnieć nie może, taką była moc i potęga utrapionego rubla.

Przyszły jednak czasy ogólnej zawieruchy; i na nasze miasto spłynął nieco ożywczy i szerszy prąd demokratyzmu. Zaszły doniosłe zmiany w układzie miejscowych stosunków społecznych.

Nowe hasła uczyniły znaczny wyłom w dotychczasowych pojęciach, przeniknęły do najdalszych zakątków dusz ludzkich zdobyły szturmem niedostępne fortece wszelakiego obskurantyzmu i zaśniedziałości, rozwiały różne mrzonki pańskie i przesądy kastowe.

Byłby jednak w błędzie ten, ktoby widział w nowym ruchu odrodzeniowym coś więcej nad zwiastuna nowej ery, ideału, do którego dążyć winniśmy wszyscy.

Dawny stan długo jeszcze pozostanie bez zmiany.

Wpływa na to ogólna sytuacja polityczna, tchnąca reakcją oraz względy ściśle miejscowe.

Życie tutejsze, oparte wyłącznie na pogoni za zdobyciem utrzymania i majątku, stwarza z konieczności zależność towarzyską pracowników od pracodawców i zwierzchników.

Wszędzie panuje służalczość i nizkie płaszczenie się przed ludźmi, od których jest się choć trochę zależnym. Niema stosunków choćby trochę przyjaźnych, serdecznych. Dlatego właśnie wszelkie nasze zabawy publiczne i prywatne mają osobliwy wygląd.

Gdzież podziewa się harmonijna atmosfera wesela i zabawy, gdzież zniknął nieodzowny nastrój pogodny zgromadzonych?

Zamiast tego wszystkiego rozsiada się w salach nuda, pycha, niesmak i żal. Wszyscy mają do siebie pretensje, każdy chce, aby o nim mówiono, jego tylko wyróżniano.

I to się nazywa zabawą towarzyską!

Wobec tego wszystkiego, gdzież tu mówić o życiu towarzyskiem.

A chyba nigdzie bardziej niż w Łodzi rozwój życia towarzyskiego jest pożądanym nym i koniecznym.

Pochłonięci jednostajną pracą zawodową, przekształcającą człowieka w bezduszną, lecz dobrze funkcjonującą maszynę, zatracają łodzianie jedną z pierwszych skłonności ludzkich — towarzyskość, zamykając się w ciasnem kółku poziomych potrzeb życia codziennego.

A szkoda wielka i niepowetowana.

DR. FIL. G. BOLKOWSKA.

MUZEUM ŁÓDZKIE.

Gdy w podróży po Europie Zachodniej przybędziemy do jakiego większego miasta, choćby w połowie tak wielkiego jak Łódź i zaglądamy do Bedeckera, aby dowiedzieć się, co jest godnego widzenia w danem mieście, prawie zawsze w spisie rzeczy napotkamy na muzea, galerye obrazów, zbiory historyczne i t. p. — W Szwaj-

carji małe mieściny, a nawet większe wioski posiadają muzea, w których przechowują pamiątki historyczne, czy też innego rodzaju ciekawe zabytki.—Najczęściej zbiory takie mieszczą sie w okazałych gmachach, specjalnie dla przechowywania i korzystnego ich przedstawienia wybudowanych.

U nas, prócz Warszawy, mało gdzie obejrzeć można liczniejsze i na odpowiednim poziomie utrzymane zbiory. Miasta prowincjonalne nie wiele o tem dotychczas pomyślały, by to co jest ciekawe, a często cenne zebrać i zakonserwować, dla przyszłych pokoleń.—Wzrastająca zaś młodzież, oraz ludzie, dla których oglądanie muzeów zagranicznych nie jest dostępne, mieliby możność rozszerzenia swego widnokręgu, przez oglądanie rzeczy, o których się tylko z książki dowiedzieć mogli.

Spotykamy tu i (wdzie zamiłowanych zbieraczy, mecenasów sztuki, ale skarby ich nie są dostępne dla szerokich kół ludności; tylko muzea założone przez zarządy miejskie, lub przez odpowiednie towarzystwa spełniają swe zadanie społeczne, przez poglądowe kształcenie szerokich mas. Szczególnie muzea przyrodnicze, w których możemy podziwiać cudowne twory przyrody: od najdrobniejszych istotek, po przez tysiączne tłumy zwierząt wszystkich rodzajów i gatunków, aż do olbrzymiego mamuta, wieloryba i przedpotopowego ichtiosaurusa, palmy podzwrotnikowe, minerały i kryształy; te muzea przeważnie służą nam do uzupełnienia naszych wiadomości przyrodniczych i przedstawiają niezaprzeczalną korzyść dla dalszego rozwoju umysłowego.

Mając to wszystko na względzie, zawiązało się w Łodzi przed trzema laty, towarzystwo: „Muzeum Nauki i Sztuki", które też zaczęło gromadzić okazy przyrodnicze i historyczne, obok wielu cennych okazów etnograficznych. Z ofiar ludzi dobrej woli zbiory wzrastały i z czasem utworzyły się 3 oddziały, pięknie już dziś zaopatrzone:

Na oddział „Sztuki" Muzeum, dotychczas jeszcze, zdobyć się nie mogło z powodu braku odpowiednich funduszów na zakupienie obrazów i rzeźb.—Przez otwieranie czasowych wystaw stara się Muzeum chcć w części brak ten uzupełnić. W roku bieżącym mieliśmy już drugą wystawę obrazów, na wiosnę r. z. była zorganizowana wystawa sztychów, a ostatnio grupa malarzy młodych umieszczała swe prace w obszernej sali muzealnej. *)

Zbiory muzeum mieszczą się w czteropiętrowym gmachu.

Na pierwszem piętrze mamy dział etnograficzny: w tym dziale widzimy wycinanki ludowe z okolic Łowicza, wzory zdobnictwa krajowego i przemysłu rękodzielniczego; obszerną gablotę zajmują stroje wiejskie z różnych stron kraju. Tamże wystawione są modele chat, całkowicie urządzonych wewnątrz; dopełniają działu tego zbiory historyczne, autografy wybitnych ludzi, przenajróżniejsze przedmioty pochodzenia egzotycznego, jak np. bożki chińskie, parasole etc. i wiele rzeczy cennych i ciekawych z Japonji, Sumatry i. t. d.

O piętro wyżej urządzono dział biologiczny. Eksponaty w tym dziale zostały ugrupowane w ten sposób, aby zwiedzającym poglądowo przedstawić ewolucyjny rozwój świata zwierzęcego. Cała hierarchja żyjątek, umieszczona wedle swej organizacji wewnętrznej, dać może obraz zupełnie dokładny o tych przeobrażeniach, jakie się w świecie zwierzęcym dokonywały, i jak z istotek prymitywnych rozwijać się zaczęły istoty bardziej złożone. To też poczynając od polipów, meduz i t. p. niezliczonych tworów, które już gołem okiem oglądać możemy, mamy tam przedstawicieli prawie wszystkich gatunków zwierząt, z uwzględnieniem ich anatomji wewnętrznej.

Liczne przykłady mimicry znajdują się wśród pięknych okazów owadów, których kilkanaście gablot przyozdabia dział biologiczny. — Wreszcie akwaria z fauną i florą wód naszych i jedno specjalnie urządzone dla fauny morskiej.

Na tem samem piętrze mieszczą się tak rzadkie okazy paleontologiczne, że niejedno zagraniczne muzeum byłoby z nich dumne.

Wreszcie gabinet fizyczny, dobrze zaopatrzony w aparaty, za pomocą których dozwolone jest zwiedzającym wykonywanie doświadczeń.

W gabinecie fizycznym znajduje się bowiem aparat Röntgenowski, telegrafja bez drutu, mała dynamomaszyna, motorek, maszyna parowa i t. p.

Dla ludzi, pracujących na niwie naukowej, a nie posiadających własnych pracowni, możność robienia doświadczeń w gabinecie fizycznym ma ogromne znaczenie—jak również posługiwanie się okazami przyrodniczymi przy studjach odnośnych, choćby były one prowadzone w zakresie elementarnym i średnim.

Muzeum „Nauki i Sztuki" zajęło w

*) Wystawa ostatnia aczkolwiek obfitowała w prace ze wszechmiar interesujące, jednak nie była *summa summarum* tego, co jej członkowie mogliby dać. Biorąc pod uwagę fakt niezaprzeczony, że wystawa omawiana zaimprowizowana została dorywczo, nie dajemy obszerniejszego sprawozdania na tem miejscu. Zaznaczymy jednak przelotnie, że wyróżniały się niezwykle prace ucznia akademji Krakowskiej, łodzianina, p. Józefa Hechta. P. Hecht zwraca uwagę krytyki nadzwyczaj oryginalnemi kompozycjami z dziedziny rysownictwa, sztycharstwa i wogóle grafiki. RED.

naszem mieście wolną dotychczas placówkę kulturalną i starało się wedle sił swych nadać tej instytucji poziom europejski.

Zarząd miasta nie przyczynia się zupełnie do podtrzymania muzeum; egzystuje ono dzięki opłatom członkowskim, rozwija się jednak stale, a z roku na rok powiększa swe zbiory.

A. KRZEWIŃSKI.

CZYTELNICTWO W ŁODZI.

Prosiłeś mnie, Redaktorze, o napisanie czegoś o czytelnictwie. Nie jest li to ironią? Czy nie byłby raczej wdzięczniejszym temat: kabarety w Łodzi, albo kinematografy łódzkie, które nawiasem mówiąc, rozwijają się z dniem każdym i jak się dowiedziałem z pewnego źródła, wkrótce wybudowane zostanie nowe „Kino“, mające pomieścić dwa tysiące osób.

A czytelnictwo zapytasz? Odpowiedź —krótka. Czytelnictwo niestety idzie wstecz! Statystyka wykazuje, że ilość czytelników prawie we wszystkich wypożyczalniach jest ta sama, co pięć lat temu, że ilość czytelń zarówno zawodowych jak i kulturalno-oświatowych bynajmniej się nie zwiększa, lecz przeciwnie.

Czyż nie wstyd przypomnieć, że miasto, liczące przeszło pół miljona mieszkańców, nie posiada publicznej biblioteki, że ludzie nauki i chętni szerszej wiedzy, nie mogą w Łodzi absolutnie pracować, gdyż we wszystkich kierunkach okazuje się brak odpowiedniego materjału.

Ale *lodzermenschom* jest z tem bardzo do twarzy, czują się oni tak dobrze w Łodzi, że lepiej nie zatruwać im błogiego spokoju.

Czytelnicy łódzcy są mało wybredni i wymagający. Nie interesują się bibliografją, ruchem umysłowym, ani literaturą piękną. Byle tylko coś sensacyjnego, lub pieprznego, co działa silnie na stępione nerwy. Gdy zapytać takiego pana, jakiego autora życzy sobie, odpowie bez namysłu: — Wszystko mi jedno, byle coś *„pikantnego“*.

Czytelniczki natomiast, więcej czytają od mężczyzn, lepiej znają i bardziej cenią autorów. Wiedzą, że Srokowski napisał „Kult ciała“, słyszały, że Przybyszewski dał nam „Mocnego człowieka“, że Danilowski stworzył przepiękną „Marję Magdalenę“, że po „Dziejach grzechu“ ofiarował nam Żeromski „Urodę życia“ i „Wierną rzekę“, że wreszcie Strug odrobił prześliczny „Portret“ i t. d. i t. d.

Nie przeszkadza to jednak niektórym naszym paniom twierdzić, że gdy niema na razie w czytelni „Trędowatej“ Heleny Mniszkówny, „to ja już niemam nic do czytania“. Pozatem nadobne czytelniczki nie lubią czytywać z zasady „nowelek“, bo choćby nowelka była najpiękniejsza, to „proszę pana, ledwie się zaczyna, już się kończy“! O autorzy! czemu tak prędko kończycie swe dzieła?

Często też nasze panie żądają dzieł naukowych, gdyż jak twierdzą, powieści już mają dosyć, „wszystkie na jedno kopyto, już się znudziły, pragnęłabym coś naukowego“.

Gdyś, nieszczęsny bibljotekarzu, zaofiarował jakieś dzieło wartościowe, spotka cię grymas z ust pięknej czytelniczki. Ach nie! „jabym chciała „Forela Zagadnienia seksualne“, Weiningera „Płeć i charakter“ albo coś w tym rodzaju“.

— — — — — — — — — —

Widzisz więc, Redaktorze, że w istniejących warunkach pisanie o czytelnictwie łódzkiem jest paradoksem, albowiem stoi ono jeszcze na tak niewysokim szczeblu rozwoju, że liczyć się z niem, przy układaniu statystyki, wydawniczej niepodobna.

Wiele jeszcze czasu upłynie, nim Łódź dyktować będzie swe zapotrzebowania intelektualne na rynku księgarskim.

HENRYK SZCZYGLIŃSKI.

Z NOTATNIKA MALARZA.

Rozwój i rozkwit sztuk plastycznych, a w szczególności malarstwa w Polsce, datuje się od tak niedawna, ze rozrost jego tłomaczyć można żywiołowem wyładowaniem energji, nagromadzonej w narodzie, mającym tyle świetnie zapisanych kart w historji dorobków kulturalnych, w dziedzinach nauki, muzyki, architektury.

Lat parę dziesiątków, bodaj że zaledwie jedno stulecie mija, gdy na widnokręgu sztuki światowej, pojawiają się nazwiska: Czechowicza, Chodowieckiego, Smuglewicza, Orłowskiego i całego szeregu innych.

Zjawiają się, i jak jaskółki zapowiadają wiosnę, tak i one są zwiastunami rodzącej się Sztuki Polskiej, odrębnej od Sztuk innych narodów.

I przyszła „Ona“ — Sztuka Polska...

Widzimy Ją, w Królewskim majestacie, w niewyczerpanem bogactwie i przepychu jak u Matejki, w blaskach tęczy tęcz, jak u Stanisławskiego, Gierymskich, Fałata lub Wyczółkowskiego, z niedosięgnioną

głębią Jej uczucia zapoznaje nas sędziwy mistrz Chełmoński.

Widzimy ją, w ukochaniu ziemi naszej, strzech słomianych, w ciągu żórawi, w uściskach mgieł, w majestacie nocy, w poszumie skrzydeł husarzy, ukazywanych nam przez cały szereg malarzy starych, młodych i najmłodszych, o nazwiskach głośnych mało znanych, lub zupełnie zapoznanych.

— — — — — — — — — —

Przyszła... w całym przepychu bogactw, w blasku bajkowym barw, Ona — Sztuka Polska, swoja, rodzima.

Taką Ją dziś ma Polska cała.

Do niedawna jeszcze niedoceniana i po macoszemu traktowana, po cierniach stąpała, więc szła między obcych.

Wśród siostrzanych Sztuk innych narodów zwraca na siebie oczy świata, chylą się przed Nią czoła, zdobywa niezależność, i piętno polskości.

I oto zdobyła to, czego odmawiano polskiej nauce;*) przed nią otwierają się podwoje międzynarodowych wystaw, Pałacy Kryształowych, Londynskich Hall, nie wyłączając Berlina i Dyseldorfu; zmusza ona dziedzicznych wrogów naszych do orzeczenia, że „naród mający taką sztukę zginąć nie może". **)

— — — — — — — — — —

Pytacie o Sztukę w Łodzi?

Zamiast odpowiedzi rodzajowy obrazek:

Siedziałem przy rannej kawie w pewnej cukierni, (znanej z tego że ma swój stolik adwokacki), czytając kartę pocztową przysłaną mi ze Szwecji przez kolegę szweda. Karta była naturalnie ozdobna, choć nie było na niej ani dworca kolejowego (mają ładniejsze od naszego), ani narożnika ulic, ani nawet wnętrza restauracji... zdobiła ją reprodukcja obrazu... Teodora Ziomka (warszawianina).

Chciałem właśnie odpisać przyjacielowi i podziękować za entuzjastyczne słowa uznania dla naszej sztuki, gdy uwagę moją zwróciły dźwięki mowy pobratymczej, dochodzące mnie od sąsiedniego stolika: „*Kupte se panie diwczynę, tak pàstelem màlowanej cery nie dostanete ani tu w miście Łodzi, ani nawet w Warszawie*". Ujrzałem jednego z proletarjuszy malarskich, wędrownego czecha, sprzedającego po domach i kawiarniach obrazki. Argument przytoczony o cerze „*namàlowanej pastelem*" przez czecha, przekonał nabywcę.

Dzieło sztuki zostało nabyte i w wieczór wigilijny zdobiło już ściany, zawieszone szeregami arcydzieł tym podobnych Venecettich.

Eviva l'arte!

*) Mam tu na myśli odrębne sekcje polskie na kongresach międzynarodowych.

*) „Die Kunst" Polnische „Sztuka" austellung in Wiener Secesion 1905—6.

ANS.

NA SCENIE I NA WIDOWNI.

Pewien władca grecki dla ukarania swych niewolnic rozkazał im wodę nosić w przetakach. Oczywista, że biedne, opalne służebnice po upływie dnia roboczego nie mogły się żadnymi rezultatami pochwalić. W tem miłem położeniu okazuje się od szeregu lat Polskie Towarzystwo Teatralne w Łodzi. Mam wrażenie, że zagniewana Melpomena uwzięła się na swych niefortunnych wasali łódzkich i wiadra, któremi chcą oni czerpać dobre chęci i natchnienie do czynów, zamienia złośliwie w fatalne przetaki. Albowiem historja działalności P. T. T. wzięta być może łacno za karnawałową karykaturę bufona—humorysty, za paszkwil złośliwca, chorego na wątrobę, nigdy zaś za odbicie czynów korporacji kulturalnej, mającej dobro społeczne na względzie. O ile sięgniemy wzrokiem w przeszłość niedaleką, odwrócimy karty przedostatnie historji teatru łódzkiego — wstaną przed nami w całej nieubłaganej powadze fakty, nie mówiące niestety na korzyść Towarzystwa. Zawsze była działalność jego płytka, zarozumiała, nie poddająca się kontroli publicznej.

Zatargi Towarzystwa z dyrekcjami teatrów były swarliwe, małostkowe i ambicjonalne — zrywania i nawiązywania kontraktów stały się przysłowiowe—konkursy, ogłaszane co lat kilka, w ostatnich czasach trąciły już operetą.

Wyniki są też po temu.

Gdy przybył do Łodzi jeden z najgorętszych miłośników i najpoważniejszych znawców teatru w Polsce—wytworny poeta, *Marjan Gawalewicz.* Towarzystwo, przywołało na pomoc cały legjon pięknych słówek i frazesów, subsydjum zaś wyznaczone na poparcie sceny polskiej było tak skromne, że Gawalewicz dołożył swą krwawicę, sterał zdrowie, siły i nadwyrężył całą optymistyczną wiarę w miłość publiczności dla piękna...

Rozgoryczony, zmieniony nie do poznania opuścił Łódź...

Nie twierdzę, że Towarzystwo posiadało zasoby, owszem wiem, że było ono zawsze ubogie!

Ale to wina jego niedołęstwa, karygodnego niedbalstwa i niezaradności.

Albowiem ustosunkowani członkowie Towarzystwa winni byli tak się w rodzimej im bogaterji łódzkiej zakrzątnąć, aby umożliwić byt teatrowi w ramach skromnych, lecz trwałych.

Dziś piszę to już w *tempus historicum...*

Wiedzą panowie stowarzyszeni o upadku Marjana Gawalewicza z wyczerpania na ulicy we Lwowie.

Zwykła u nas kolej ludzi wielkich... Nie domyślają się jednak z całą ich rozbrajającą poczciwością, gdzie szukać genezy choroby Marjana Gawalewicza.

Odwracam kartę. *Janowski Czesław*, dyrektor. Morze banalności w repertuarze upodobania bulwarowe, niskie geszefciarstwo, tendencje liche, aspiracje żadne.

Było mu z Towarzystwem wyśmienicie. Tow. Teatralne subsydjonowało (ajakże), znakomicie się czuło w randze ojca sztuki na bruku łódzkim (o biedna, po trzykroć biedna sztuko!).

Ale coś się poczęło psuć w towarzystwie wzajemnej adoracji.

Ogłoszono konkurs.

Wówczas konkursy na objęcie teatru łódzkiego nie były tak zdyskredytowane i ośmieszone z kretesem, jak dziś.

Teatr objął *Aleksander Zelwerowicz.*

Towarzystwo znowu rozpoczęło, jak zwykle od błędów i nietaktów.

Nie ocenili bowiem, że Zelwerowicz jest wielkim artystą, niepospolitym reżyserem i energicznym kierownikiem.

Odrazu postawił on teatr na niebywałym w Łodzi poziomie. Repertuar urósł do Słowackiego, Mickiewicza, Wyspiańskiego. Przez afisz przesunęły tryumfalnie najwybitniejsze nazwiska pisarzy polskich i obcych...

Teatr był zorganizowany nadzwyczajnie trafnie—obok sił młodych, pełnych zapału dla sztuki i... uzdolnienia, widzieliśmy prawdziwe talenty, które niezadługo zajaśnieć miały niepowszednim blaskiem na firmamencie sztuki polskiej,

A więc:

Junosza, Jaracz, Grabowski, Nowakowski, Fritsche, Siemiaszko, Zieliński, Zelwerowicz, Mielewski, Bolesławski i wielu, wielu innych, o których nie wspomnę.

Ponadto planowo i świadomie urządzane występy wielkich artystów dramatu polskiego z Solskim, Solską i Wysocką na czele...

Cóż z tego? Towarzystwo żądało hołdów uwielbienia za swoje rzekome zasługi, które przecie całkowicie na barkach swych dźwigał Zelwerowicz.

Towarzystwo kazało domyślać się tłumowi swej hojnej dłoni kierowniczej, w tak nadspodziewanym rozkwicie sztuki, gdy tymczasem Zelwerowicz *skarżył się na wysokość tenuty dzierżawnej (SIC!)*

Klęski i niepowodzenia zgładziły teatr Zelwerowicza...

Towarzystwo spało... na laurach!!!

Jedyną zasługą towarzystwa — jest wybudowanie własnym sumptem schroniska dla sztuki polskiej przy ul. Cegielnianej. Jednak niezaradność ujawniła się i tu dość dobitnie: po upływie lat kilku teatr przechodzi na własność osób trzecich, *a Towarzystwo Teatralne stanie znów wobec fatalnego dylematu, jak owa rybaczka z bajki Puszkina przed zdruzgotanem korytem.*

Łódź nie posiada *stałego* teatru.

Albowiem co lat kilka następują „przesilenia" dyrekcyjne, poczem nadchodzi era szumnych zapowiedzi—i wraz z nową dyrekcją, instaluje się *ad hoc* zorganizowana trupa.

Nie może tu być oczywiście mowy o jakichś tradycjach lokalnych, o zadzierzgniętych pomiędzy aktorami a publicznością niciach sympatji.

Towarzystwo Teatralne nie rozumie, że pierwszą jego troską i zadaniem jest praca około stworzenia stałej sceny polskiej w Łodzi—nie w postaci gmachu, który i tak jest *atrybutem jeno*, dopóki *zespoł* nie jest zaszczepiony przynajmniej w ogólnych konturach na stałe, lecz w wyrobieniu subsydjum, umożliwiającem byt teatru.

Nie zanosi się jednak na to wcale!

Ostatniem *faux pas* Towarzystwa było powierzenie sceny łódzkiej p. Maliszewskiemu, który mimo starań tak wybitnego reżysera i artysty, jak Bednarczyk, nie sprostał zadaniom, co już *ante factum* było ośpiewane przez wróble ze wszystkich dachów, za wyjątkiem tych z dachu przy ul. Cegielnianej 63.

Przyzwyczajono już nas do tego, że wróble z pod wspomnianego n-ru, nie pouczają snać o niczem stowarzyszonych dzierżawców tej realności.

Konkurs tegoroczny, okrył Towarzystwo śmiesznością i nie przyniósł żadnych absolutnie rezultatów.

Widocznie niewielu już znajdziemy amatorów opieki artystycznej Towarzystwa Teatralnego.

Nie umie ono bowiem skrzydeł do lotu rozwijać, ale podcina je bezwiednie, lecz dotkliwie.

Teatr wydzierżawił p. Bolesławski, zrezygnowawszy z mistycznej opieki Towarzystwa, i prowadzi go wedle swych upodobań artystycznych, (o czem będzie poniżej).

Wobec tak niepomyślnych konjunktur-Towarzystwo ułożyło buźkę *„w ciup“* i jak rozkapryszone dziecię jęło „grozić“, że sobie pójdzie i zda teatr polski w Łodzi na łaskę Opatrzności, o ile ogół nie da mu do zrozumienia, że jest ono potrzebne społeczeństwu. Innemi słowy, ogłoszono—ankietę. I stał się fakt nieprzewidzianie szczęśliwy.

Oto wpłynęło do kasy Towarzystwa tą drogą, (nie przerażajcie się proszę) około 5-ciu tysięcy rubli!

Wobec tak pomyślnego uśmiechu fortuny, Towarzystwo włożyło paluszek do buzi i medytuje...

Nie wie bowiem, czy ma przystąpić do budowy gmachu dla sztuki polskiej („wplost! odlazu, panie dzieju!“) czy też ogłosić nowy.. „konkurs“.

W kronice dzienników błąka się szczęśliwa dla Łodzi zapowiedź:

KONKURS!!!

Widzę cię, zagniewany, chmurny władco grecki, jak pędzisz w obłokach na 'alistym rumaku, i nie rozdajesz już fatalnych przetaków swym niewolnicom, lecz członkom Towarzystwa Teatralnego rzucasz je z nieba, jako emblema jego pracy.

Nie byłem nigdy zwolennikiem teatru t. zw. „popularnego“, dla jego niesympatycznej postawy wobec teatru Zelwerowicza, hałaśliwości i zarozumiałych zamachów na dzieła sztuki, bez należytego ich zrozumienia.

Teatr, prowadzony w sezonie bieżącym przez p. Bolesławskiego, podobno wywodzi się duchowo i materjalnie z owego teatru „popularnego“ przy ul. Konstantynowskiej. Ponieważ ów teatr nie był mi znany, wrażenie poniższe wyprowadzę jedynie na podstawie rzeczy, widzianych w roku bieżącym.

Muszę się jednak zastrzec, że rozpatruję teatr ten nie jako „Teatr Polski“, posiadający dla Łodzi znaczenie placówki społecznej. — — — — — — —

— lecz, jako teatr prywatny, bez żadnych złudzeń ideowych, imprezę tak czy owak zorganizowaną i postawioną, korzystającą jednak z *sui generis* specjalnego budynku przy ul. Cegielnianej *przypadkowo*, mocą zbiegu okoliczności.

A więc przedewszystkiem — repertuar. Zarzuciłbym brak planowości, chaos i nieobecność troski o repertuar swojski. Po zatem — zamało nowości, zamało utworów o prawdziwej, trwalszej wartości literackiej.

Brak pereł klasycznych, brak utworów mistrzów, drogich sercu społeczeństwa.

Wspomniałem o tem kiedyś przelotnie (w „Nowej Gazecie Łódzkiej“) nie będę więc się zbytnio rozwodził nad takim stanem rzeczy.

Konstatuję jednak fakt, że tradycja wieczorów czwartkowych upada sama przez się—nie tylko frekwencyjnie, ale niestety, intelektualnie.

Nie widać już tego zainteresowania, które cechowało dawne premjery, nie słychać ożywionych dyskusji na temat wystawy, wykonania, zabiegów reżyserji.

Nie wchodzę tu *w przyczyny* usterek



Bolesław Bolesławski,
Dyrektor teatru Polskiego.

i braków teatru p. Bolesławskiego, nie analizuję warunków (wyjątkowo niepomyślnych), niweczących wszelkie usiłowania. Przechodzi to bowiem atrybucje krytyki.

Zespół tegoroczny teatru p. Bolesławskiego, nie błyszczy przepychem talentów, przeciwnie przedstawia się nader skromnie, złożony jest bowiem przeważnie z sił młodych, niewykwalifikowanych i, naogół biorąc, przeciętnie inteligentnych. Kilku artystów, posiadających rutynę, nie wybija się ponad poziom użyteczności. Czasami braknie sił do ról o różnorodnym zakresie, tu i owdzie rażą błędy naiwne, płynące z niewyszkolenia i chaotycznego traktowania pracy.

Temniemniej z tego skromnego materjału możnaby przy usilnej i inteligentnej pracy osiągnąć rezultaty bardzo interesujące.

Braknie umiejętnej, sprężystej i konsekwentnej dłoni reżyserskiej.

P. Bolesławski, przeciążony zbytnio pracą administracyjną i kierowniczą, nie może samotnie dźwigać całego ciężaru reżyserji, a pomocników odpowiednich niema,

Nie należy zapominać, że w sezonie ubiegłym reżyserję prowadzili Bednarczyk i Orliński, kierownicy pełni pomysłowości; ludzie, którzy bądź co bądź (zwłaszcza pierwszy), zdziałali już na tem polu niejedno Pp. Bogusiński i Kołakowski nie mają poprostu warunków do tak odpowiedzialnej pracy.

P. Bolesławski—artysta dużej miary, noszący w sobie tradycje starej i dobrej szkoły, zawsze będzie ozdobą każdej sceny, na której grywa, lecz nie potrafi on nigdy ześrodkować w sobie wymagań nowoczesnej techniki teatralnej, operującej grą zespołów, skupieniem, pogłębieniem nastrojów, stylizacją, harmonizowaniem dekoracji, prostotą, całą gamą efektów światła i cienia.

Dlatego więc w teatrze p. B., w przedstawieniach całkiem udanych i harmonijnych, zdarzają się ciągle usterki zespołowe, czasami wyrywa się ni z tąd ni z owąd bezpretensjonalna *kulissenreiterei* w rolach drugoplanowych, uprawiana przez epizodystów.

Brak *SUBTELNOŚCI*, czułej opieki nad szczegółami, nieodzownymi poprostu dla osiągnięcia pełni wrażenia. Widowiska (nie mówię tu o zaimprowizowanych naprędce a zgoła niepotrzebnych... „Złych duchach" i innych „Uszkodzonych", czasami niezłe, nie są jednak *dociągnięte* do pewnej doskonałości, z powodu zlekceważenia szczegółów.

Odnoszę *subjektywne* wrażenie, że p. Bolesławski ma za szeroki gest, by wnikać w drobnostki. Zgoda! Ale wszak być musi ktoś, co go w tem zastąpić potrafi!

Czasy „zgrywania się" bohaterów ze szkodą figur epizodycznych minęły bezpowrotnie!!

Nie znamy dziś rol popisowych! Popisywać się grą winny *ZESPOŁY*. Rozumie to doskonale Stanisławski, Gordon-Craig, Reinhardt.

Rozumie nasz Zelwerowicz, Szyfman, Solski.

Dla rzeczowego poparcia twierdzeń powyższych, dam szkic retrospektywny wybitniejszych przedstawień teatru p. Bolesławskiego. „Orlę" było bezsprzecznie najlepszem widowiskiem sezonu bieżącego. Uperfumowany utrefiony, zgrabny bękart muzy Rostanda, obfitujący w cały szereg wdzięcznych i efektownych sytuacji scenicznych, przy odrobinie pracy zespołu gra się sam.

P. Bolesławski wyreżyserował sztukę b. starannie, wyposażył w estetyczne (choć skromne) dekoracje i odpowiednie kostjumy — nadewszystko zaś stworzył w niej niepospolitą kreację cesarza Austrji. Roli zagranej z tak bajecznem zrozumieniem psychologicznem i bogactwem środków odtwórczych nie widziałem już dawno.

Nieźle deklamował patetyczne, choć pseudo-orlęce tyrady nieszczęsnego Napoleonida p. Biegański, p. Kołakowski zaś był wzorem sumienności i gry wysoce poprawnej w roli metaforycznego kamerdynera—spiskowca.

Pozatem było sporo momentów udanych i ładnych, kilka żywych ruchów tłumu gości na balu, schmurzonych i groźnych ech w polu pod Wagram.

Pragnę jednak zwrócić uwagę, że błędy i usterki reżyserskie, przeoczone widocznie na próbie jeneralnej, nie zostały



Wiktor Biegański.

święci tryumfy, jako Książe Reichstadzki, w kilkudziesięciu przedstawieniach „Orlęcia".

usunięte, przy całem powodzeniu sztuki, aż do chwili ostatniej i to właśnie charakteryzuje rezyserję *in minus*

Scena wymiany kart na balu wadliwa i cały zatarg oddany nieszczerze. Epizod miłosny z Marją Ludwiką chybiony przez partnera p. Bolesławskiej całkowicie.

Scena z kapeluszem i scena przed lustrem oraz djalog z wartującym Flambardem zmącona w kilku miejscach. P. Bogusiński (który pracuje nawet z powodzeniem w roli Matternicha) nie może sobie w tem miejscu dać rady z unoszącą go dykcją i coraz osłabia wrażenie.

Scena aresztowania księcia i spiskowców na polu pod Wagram nie wywołuje żadnego odruchu u widza.

Drugą wybitną premierą, którą należy na dobro p. Bolesławskiego zapisać, są „Krakowiacy i Górale". Mojem zdaniem jest to najstaranniej wyreżyserowana sztuka sezonu bieżącego. Aczkolwiek jest ona bladą jeno kopją Teatru Polskiego

Szyfmana, jednak pod względem technicznego opanowania sytuacji stawiam ją najwyżej ze wszystkiego, com widział w sezonie bieżącym w tym teatrze. Po za wymienionemi nie mogę podkreślić w repertuarze tegorocznym żadnej sztuki, godnej głębszej analizy.

O wznowieniach sztuk klasycznych nie piszę, bo były one zrobione naprędce, nad wszelki wyraz niedbale i zasługują na naganę.

Na zakończenie wypada mi wspomnieć przelotnie o występach Żelazowskiego, wpływających dodatnio na pracę zespołu w teatrze p. Bolesławskiego.

Wiemy bowiem wszyscy, że jest on wielkim artystą i definicji gry jego poświęcić możnaby obszerniejsze studjum.

Niestety p. Żelazowski niezawsze szuka ujścia dla swego niepospolitego talentu w rzeczach godnych jego. „Nieuczciwi", „Samson", „Miljarderzy" należą do rzędu ramot scenicznych, o których mówić nie warto. Zaś „Król bawełniany"



Janina Morska - Magnuszewska,

młodziutka, lecz wybitnie uzdolniona artystka teatru Polskiego. Ostatnio w „Parjasach" i „Przebudzeniu się wiosny" tworzy uderzające pomysłowością figury.

jest mieszaniną giełdy, bawełny, apoteozą rubelmacherstwa, nieszczęsną, nudną i pretensjonalną bombą.

Jednak we wszystkich tych sztukach widać staranną robotę artystów i dekoratora oraz lwi pazur reżysera.

Występom Żelazowskiego zawdzięczamy nad wyraz ciekawe widowisko—„Duch Ziemi" (nie „Demon Ziemi" jak chce tłumacz polski) oraz „Otella".

Duch ziemi to sztuka—symbol, składająca się z czterech wielobarwnych obrazków menażerji ludzkiej. Świszczy bicz pogromcy, ogniem zieje jego rewolwer, a on uśmiechnięty, tęgi, zadowolony, okryty zgrabnym czerwonym frakiem, zrywa zasłonę, kryjącą od was scenę.

Spójrzcie na nią, bo tam wywleka poeta-aktor —Frank Wedekind, arcyludzką bestję z dna naszych dusz.

Ujrzycie chuć, jak ciągnie ku sobie, ujarzmia i depcze w proch.

Padnie przed nią na twarz starzec i skona zdławiony, o ironjo, obcasem swej wszechobejmującej, pożarnej miłości.

Poderżnie sobie gardło dla niej młody, natchniony malarz, zginie od jej kuli stary wyga—redaktor.

A ona tańczy.

Jak życie... Jak samo przeklęte życie..

A wtańczy się w mózg i serce ludzi z nizin i wyżyn...

Upajać będzie haszyszową wonią ciała, wulkanicznym błyskiem ócz, żmijowem zgięciem korpusu.

Wy, co szukacie u niej serca, znajdziecie pustkę i chłód, który was zmrozi, urzeknie i obłąkanych rzuci do jej stóp...

To jest ta, co opanowała świat, co niszczy męskość, co sieje ból i zwątpienie.

W ciemniach błąka się szatan i wysyła ją na rozstajne bezdroża, iżby świeciła chutną nagością i złotą mierzwą ryżych włosów. *ERDGEIST.*

U trupa ojca siedzi ona obojętna, nieubłagana i uwodzi syna—na nowe dla niego drogi!!

A za drzwiami i po kątach galerja ludzka.

Wykolejeniec—pijak, atleta, stangret i młokos —gimnazista, posplatani w przedziwnych, niezbadanych torsjach miłości i żądzy.

Któż to jest spytacie?

No, ona, kobieta...

Kobieta—urodzona prostytutka, ta która się matką nie stała, według d-ra Weiningera...

Dezerterka mrocznej, szalonej wyobraźni Leopolda Sacher—Masocha.

Wszak jej starsza siostra, krępuje w łosiowy kaftan Strindbergowskiego bohatera i pluje mu szydem w oczy:

„*Podaj mi rękę mężu*"!"

— No, żywo podaj rękę skrępowany mężczyzno—olbrzymie, podaj jej rękę wyłamaną z ramienia...

— Nic to, że krzyczysz! Oprawcy z piekieł szpitalów dla obłąkanych potrafią przekleństwa twoje uśmierzyć.

Ta sztuka — to symbol.

Dusza kobiety, zaklęta w alabastrową bryłę fantazji poety.

Zwycięska Lulu! *ERDGEIST.*

Kurtyna zapada, światła gasną, na dworze mglisto od dżdżu, mokną ludzie i gniją dusze.

Koniec jest teatru. Idźcież do domu

W „Otellu" stworzył Żelazowski figurę niezapomnianą, kutą z jednego złomu granitu. Każdy wybuch jego płomiennego serca odbijał się w skurczu muskułów i konał w przejmującym jęku. W „Duchu Ziemi", jako d-r. Schoen, był Żelazowski doskonałym reprezentantem męskości, gnącej się jak wosk, w ogniu pożądań. Dzielnie sekundowała gościowi Lulu — Bolesławska.

Niepospolitą intuicją wiedziona, wżyła się w najtajniejsze drgnienia duszy odtwarzanej postaci—i zdobyła się na kreację.

A teraz ogólnikowe słowo o dekoracjach. Są one znośne, lecz w detalach rażące. Np. sufit, zabazgrany w jakieś koła i kwadraty i niedostosowany do rozmiarów dekoracyjnych komnat.

Drzwi niedochodzące, płócienne, chwiejne, okna niedopasowane i t. p.

Pozwolę sobie zwrócić uwagę p. Bolesławskiego, że Zelwerowicz wprawadził w użycie drzwi drewniane. Dlaczego tą doskonałą inowację dekoracyjną odrzucono nie wiem. Efekty świetlne dużo pozostawiają do życzenia. Trzeba jeszcze włożyć w ten teatr dużo pracy i subtelności.

Ostatnio teatr Polski zdobył się na kilka sharmonizowanych w poprawną i interesującą całość widowisk.

Dowodzi to, że przy pracy i bliższem poznaniu się artystów, osiągnąć można rezultaty pomyślne.

Żałować wypada, że za kilka miesięcy zespół zwyczajem dorocznym, rozbije się i publiczność narażona będzie znowu w sezonie przyszłym, na pierwsze kroki i błędy, powtarzające się *ad infinitum,* a wynikające z przyczyny nieobycia się warunkami nowozaangażowanych często wprost z aplikacji artystów.

Straciliśmy jednak nadzieję, aby towarzystwo teatralne ważną tą sprawą zajęło się, bo wszakże robi ono wszystko... prócz tego co do niego należy i czem się zająć powinno.

BELJOT.

SUFRAŻYSTKI.

Dnia 13 czerwca 1884 r. miss Cobbe i miss Miller zwołały wiec w Hyde'a parku w Londynie w celu zażądania praw cywilnych dla kobiet.

Na wiecu tym, miss Miller poinformowała obecnych o swej decyzji niepłacenia więcej podatków.

„Zmuszę w ten sposób, mówiła, poborcę do wyłamania mych drzwi w celu nałożenia aresztu na me ruchomości. Będę stawiać opór władzy i z roku na rok będę dla niej coraz bardziej niegrzeczną i nieprzyjemną".

Według ówczesnych pism brytańskich, oświadczenie to wywołało w całej Anglji jeden tylko ogólny wybuch śmiechu. Nazajutrz miss Miller otrzymała całą masę drutów do robienia pończoch...

Oto jaki miało oryginalny skutek pierwsze wystąpienie sufrażystek angielskich przed trzydziestu laty.

***

Dzisiaj działalność ich pociąga za sobą bardziej dotkliwe i namacalne skutki.

Według dokładnych obliczeń najpoważniejszego dziennika angielskiego „Times'a" w ciągu jednego miesiąca października r. b., sufrażystki wznieciły w Anglji 12 pożarów, których pastwą padło 12 zabudowań prywatnych i rządowych, wyrządzając szkody na sumę 643,800 rb.

Inny dziennik angielski „Daily Mail" oblicza dochód centralnej organizacji sufrażystek na 185 tys. rb. miesięcznie.

Na początku 1911 r. sufrażystki zebrały, drogą składek publicznych w ciągu trzech miesięcy, prawie miljon rubli.

Zachęcone powodzeniem, ogłosiły w roku zeszłym nową listę składek i zebrały w krótkim czasie 2 miljony rb.

Sufrażystki mają więc pieniądze na kupno zapałek i nafty...

***

Nie należy jednak wnioskować, na zasadzie wyżej przytoczonych cyfr, że sprawa kobieca w Anglji przyjęła w ostatnich czasach pomyślny obrót, zbliżając się ku korzystnemu dla kobiet rozwiązaniu.

Przeciwnie. Sprawa kobieca w Anglji straciła na swej powadze i usunęła możliwość wprowadzenia w życie równouprawnienia kobiet na czas dłuższy.

Posłuchajmy jednak jednego z najgorliwszych feministów w parlamencie angielskim, znakomitego męża stanu, Lloyd George'a, który, przyjmując statnio delegację sufrażystek, miał powiedzieć według sprawozdania paryskiego „Matin'a, co następuje:

„Przed siedmiu laty w parlamencie utworzyła się większość posłów, rzeczników sprawy kobiecej.

Dzisiaj znalazła się ona w mniejszości.

Przed siedmiu laty część opinji publicznej była po waszej stronie, druga zaś część zachowywała się obojętnie.

Dzisiaj pierwsza część jest obojętną dla waszej sprawy, druga zaś jest usposobiona zdecydywanie wrogo względem was.

Wina leży po waszej stronie.

Pamiętajcie zawsze o tem, że proponując pewną reformę i pragnąc ją urzeczywistnić, nie wystarczy posiadać za sobą przekonanych entuzjastów; należy jeszcze zdobyć milczącą zgodę żywiołów obojętnych.

Jeżeli przesadą i gwałtem przestraszycie tych ostatnich, bez względu na zapał waszych zwolenników, akcja wasza nie uwieńczy się powodzeniem".

* * *

Dziś nie ulega już wątpliwości, że sprawa kobieca w Anglji, która zdawała się być już wygraną, została na czas dłuższy przegraną.

Brutalne napady na przedstawicieli rządu, niszczenie odzieży policjantów, wybijanie szyb w ministerjach i podpalanie przez sufrażystki gmachów publicznych i prywatnych, pozbawiły Anglję tej reformy, którą szczycą się już: Australja, Nowa-Zelandja i Norwegja.

Syn Albionu szanuje swe prawa i nie znosi ich pogwałcania.

Niewłaściwa taktyka angielskich rzeczniczek sprawy kobiecej, niesłuszna w swem założeniu i szkodliwa w wykonaniu, doprowadzić tylko może do tego, że przy najbliższych wyborach, w zebraniach przedwyborczych weźmie udział trzy razy więcej obywateli, niż dawniej, którzy krzykną ironicznie pod ich adresem: „*Mind the baby*" (zajmijcie się lepiej robótkami).

ANDRZEJ NULLUS.

ŚWIĘTO SAMOTNEGO CZŁOWIEKA.

(w dniu jubileuszu L. Belmonta).

W roku bieżącym upływa dwudziestopięciolecie pracy publicystycznej, jednego z najoryginalninlszych i najbardziej indywidualnych członków prasy polskiej— Leo Belmonta.

Niezłomna służba idei, niepospolite zdolności pisarskie, fenomenalnie rozwinięty dar obserwacji, a nadewszystko dumny i wzgardliwy wzrok oraz niegnący się kark, oto cechy Belmonta, dzięki którym wzbił on się tak wysoko ponad szary i przeciętny tłum prasowy, że nie dosięgają go plwociny malców i potwarców, ani też boli wytrwałe przemilczanie prac jego przez ży-



Leo Belmont,
b. redaktor „Wolnego Słowa".

wioły postępowe. Człowiek, wybierający świadomie ciernistą drogę, dążący nią niezachwianie, ów, co skrwawionem sercem gryzł obłudę społeczną i plwał wzgardą w pysk tłumu, tak skłonnego do krzyżowania olbrzymów, ma prawo nie dbać o to, co o nim napiszą przyjaciele czy wrogowie w dniu jego jubileuszu.

Z uczuciem żalu i wstydu wypada mi rzucić garść ogólników impresjonisty, mających zarysować fizjonomję pisarską, która winna być o tyle znana, by szczegóły biograficzne zbędnemi się stały!

Jest, oczywiście inaczej...

— — — — — — — — — — — —

Przed laty, po ludnych bulwarach Petersburga błąkał się młody adwokat—marzyciel z teką, zawierającą między aktami spraw rękopis przedziwnego puszkinowskiego „romansu wierszem“ — w języku polskim...

Wielki ironista rosyjski, rzucający pełnemi garściami złote kwiaty zapoznanego serca, pociągał prawnika polskiego urokiem nieprzepartym...

Duch twórcy własnego nie z miedzi pomnika, do którego ścieżyny nie zarosną nigdy zielskiem zapomnienia, szeptał młodzieńcowi tajemną symfonję bolów, obnażał przed nim wnętrzne pokłady goryczy i cierpienia... i dostaliśmy „*Eugeniusza Oniegina*“, przybranego w wspaniałą szatę słowa polskiego, Eugeniusza, co wyidealizowany nieukojoną nostalgją poety — tłumacza stał nam się bliższym, spowinowaconym duchowo...

Mówię: poety—tłumacza!

Jest nim bowiem Belmont, wbrew zdaniu przysięgłych zoilów, szukających w poezji wspaniałej architektoniki zewnętrznej, barwności obrazowania lecz nie serca — „*tego maleństwa co boli*“ *)

— — — — — — — — — — —

„Romantyczni“—Rostanda w nadzwyczajnie czystym, rzekłbym, natchnionym i *mądrym* przekładzie...

doskonale oddana scena samozwańca z Maryną z Puszkinowskiego „Borysa Godunowa“ i cały cykl brylantowych, rozełkanych nadmiarem uczucia, lub hardo skrzywionych liryk Heinego

powinny były zapewnić poecie uznanie, a czoło jego ozdobić dobrze zasłużonym laurem...

Lecz życie umieściło Belmonta, jak sam się przyznaje „*na marginesie*“.

Jest on bowiem czystej wody mózgowcem, głębokim psychologiem, poszukującym w przepaściach dusz ludzkich, niewysłowionych drgnień i nieznanych nikomu tajemnic...

Myśl jego skrzętna i pracowna idzie w wielu kierunkach i przepala się w ogniu poczucia ogólnego dobra... A więc po powieści psychologicznej — „W wieku nerwowym“, rzeczy zakreślonej na miarę dużą—przerażającej historji, nędzy ludzkiej, po której błąka się subtelny, a bezradny uśmiech autora, pisze Belmont całe tomy studjów literackich, rzuca liczne impresje, często perły, pracuje ciągle, uczy się i zdobywa coraz to nowe arkana krzyżowej sztuki djalektyki.

Staje się polemistą o szpadzie giętkiej i ostrej, przeciwnikiem strasznym — nieubłaganym dla głupców.

Urodzony społecznik, trybun i wielki publicysta bierze górę nad twórcą.

Belmont, gnany tęsknotą do kraju, trawiony gastryczną gorączką działania wraca z Rosji, gdzie zostawia żal po sobie śród pracowników postępu i kultury.

W mieście rodzinnem, z którem „związała go męka“, zakłada jedyne w swoim rodzaju pismo, borykając się z trudnościami, zapełnia jego szpalty krwią swą i żółcią; spracowany, uginający się pod brzemieniem „sztrafów“, niepowodzeń, rozczarowań i bolów, jak rozbitek, trzymający się brzytwy, walczy z naporem fal, usiłujących go zatopić.

Na niebie politycznem zbierają się czarne chmurzyska reakcji, wicher posępny hula w szuwarach nadbrzeżnych, grom po gromie bije w człowieka samotnego, a obłąkane błyskawice oślepiają go co chwila. Lecz mówi, głosem donośnym... i oczyma ślepemi od goryczy fascynuje tłum...

Daje mu ze siebie wszystko...
Wzamian nie żąda niczego...
Aż wyczerpany milknie...
Niedbałe machnięcie ręką...

Pod spokojną napozór piersią toczy się straszna walka...

Od sześciu miesięcy nic nie drukował!

On. co jak niepoprawny alkoholik flaszę, chwytał pióro w strudzone palce i pisał...

Trudno... Zmęczenie i bezwład potrafią okuć najpotężniejsze duchy... Jest to (tak twierdzą z całą pewnością) wyczerpanie chwilowe...

Wiem, że po dłuższym może odpoczynku przemówi znowu, wyjątkowo czystym—spiżowym głosem...

A ma prawo na odpoczynek ten, o którym powiedział pieśniarz starej Warszawy — uczuciowy i kryształowo prawy Gomulicki:

Tłum chciał żeru, więc kartę rzucał [mu po karcie,
Łzami pisząc i żółcią, na bój idąc [śmiele.
Płazów podłe milczenie i szyderstwa [czarcie
Dano mu miast marmuru w pamiątek [kościele.

— — — — — — — — — —

*) Wyspiański.

Człowiek, mówiący:
„...ja *muszę* pisać...
a wy *możecie* nie czytać" — milczy...

Gardzący czapką i papką sytego mieszczaństwa, prawdziwy arystokrata ducha, szermierz męski, żołnierz niezłomny zażywa spoczynku... Rozumie bowiem, że walka w dobie dzisiejszej — byłaby manjacką wyprawą... na śmigiawiatracze!

Poczucie godności osobistej nakazuje milczeć w chwili, gdy psiarnia szczekających, zgłodniałych kondlów opanowała mównicę!

— — — — — — — — — —

Na tem skończę...

Nie mogę bowiem zabierać zbyt wiele drogiego miejsca, potrzebnego do poruszenia tylu jeszcze spraw.

Tembardziej, że wiem, iż w szczupłych ramach impresji, mającej być wytchnieniem dla duszy, strawionej szarzyzną życia, niezamknę wiernej perspektywicznie i konturowo postaci Leo Belmonta. Miałem kilkakrotnie przyjemność i zaszczyt pisania o tym pisarzu.

Pisałem mianowicie o Belmoncie prelegencie („Kurjer Łódzki)" feljetoniście i spółeczniku („Kurjer Kaliski") i o autorze „Sprawy" (tamże). Urwę więc ufny, że w przyszłości losy pozwolą mi powrócić do tej wyjątkowej postaci publicystyki polskiej i poświęcić twórczości Belmonta studjum obszerniejsze.

— — — — — — — — — —

Kto wie, co przygotowuje w ciszy swego gabinetu twórca „Dla honoru", „Polski nad przepaścią" i „Rymów" i Rytmów"?

Szermierz i bojownik, do którego zastosuję misterne słowa Leopolda Staffa, umieszczone na wstępie „Łabędzia i liry".

„Kędym ja wolny, wam trumienne [wieko
Piersi ugniata z niewolą w przymierzu,
Bo więżę wolność pod woli opieką,
Serce gorące w lodowym pancerzu".

— — — — — — — — — —

I zdaje mi się, że mimo niewspółmiernych środowisk, przytoczony ustęp charakteryzuje trafnie publicystę—jubilata...

LEO BELMONT.

Z włoskiej pieśni Cezara Niccoliniego*).

□□□

Czas wszystko zapisze i nic nie zapomni!
O, dowie się przyszłość, usłyszą potomni,
Jak wielkim był ból nasz, jak podłym wasz [kłam,
Nadejdzie godzina — już jest niedaleko —
Gdy piętno wam hańby na czołach wypieką
Za mękę i trud nasz oddadzą hołd nam!

I przejrzą potomni—zdziwieni i smutni,
Że mogli być ludzie tak bardzo okrutni,
Że w sercach człowieczych mógł wiać taki [chłód,
Że usta zamknięto, że oczy zakryto,
Gdy podle proroków kamieńmi pobito,
Gdy braciom groziły tortura i głód!

. . . .

I młodość ze zgrozą zaciśnie swe dłonie
I świętą odwagą szczerości rozpłonie
I krzyknie: „Nie było-ż to w on czas nam żyć?!
O, czemu-ż zbyt późno zrodziły nas matki,
By maski pozdzierać z obłudy tej gładkiej,
Męczarni i krzywdy ludowej się mścić?!"

I miecz nieomylnych wyroków upadnie...
I w trumnach swych zadrżą satrapi... I władnie
Nad wszystkiem, co zgniłe, rozpocznie się sąd!
A w dniu tym pod hańby fatalne pręgierze
Historja postawi potężnie i szczerze
Nie tylko tyranów nikczemność i trąd!.

Lecz także i was—i tchórzliwość tę waszą,
Co stoi milcząca przed krwi pełną czaszą
I was, małoduszni wy bracia,—i was,
Co mimo wiszących na krzyżach idziecie
I klątwą namiętną wybuchnąć nie śmiecie
Na męki swych braci patrzycie jak głaz!

---

*) Transkrypcji dokonano z pięknego przekładu resyjskiego, znajdującego się w zbiorze „Cztiec-Deklamator", wyd. V, str. 254.

ZYGMUNT ROBAKIEWICZ.

PROMIEŃ.

Pani L. Nien. ofiaruję.

Zamknąłem duszy mej podwoje,
U czystych krynic kładę klucze,
I gubię w smutku serce moje,
A duszy kraczą głosy krucze;
Lecz nie otworzę, nie otworzę,
Przed nikim bólu nie ukorzę!

Jeśli przybędziesz, boska, biała
A klucze zgubią twoje oczy:
Choćby rozpaczą dusza drżała,
Chociaż mi otchłań myśl zamroczy,
Nawet przed tobą nie otworzę,
Przed tobą bólu nie ukorzę!

A jeno jeden promień płonie
I bladym blaskiem smutek koi!
U krynic kładę drżące dłonie,
Klucze do duszy mej podwoi,
Może je znajdziesz i otworzysz,
I słońce stworzysz!

ROCH PEKIŃSKI.

PANNY.

Panny z czarnych powozów, aźurowo-przejrzyste,
Panny smętnie przeciche, jak szeptania kościelne,
O, narcyzy z cieplarni panny wonne i czyste,
Koronkowo-misterne, aksamitnie-subtelne...

Jakże lubię Was, panny, „niedostępnie"—ponętne!
Aromaty tajone! Kwiaty w czarnych powozach!
Trochę smutne jakoby, a nawpół uśmiechnięte,
O, przesmętne, prześliczne, jak motyle w mimozach.

Excusez... mam wrażenie, że się... hm! wam po nocach
Parobkowie rzeźniccy śnią, jak lwy muskularni,
Że się często atleci marzą w słodkich przemocach
Silni, tędzy, ogromni... O, narcyzy z cieplarni!

„Lecz cóż Pana obchodzi, co po nocach nam śni się?!.
To jest wprost... niesłychane! grubijańskie!! bezczelne!!"
— Nic... nic... więcej nie będę! — O, kochane [skromnisie!
Aksamitnie-misterne, koronkowo-subtelne!



ROCH PEKIŃSKI.
(JULIAN TUWIM)

ŹLE.

Włóż pelerynę, o duszo moja,
— Conditio sine qua non —
Idź do redakcji o duszo moja,
I „poetycki" nieś „plon"...

Weź honorarjum, o duszo moja!
„Druk—to ohyda"—?—Ech—pluj!!
Czternaście razy po dziesięć groszy,
Dostaniesz za sonet swój...

Idź do kawiarni, o duszo moja!
I przy stoliku siądź.
A w szklance kawy, o duszo moja,
Jak w sobie, łyżką mąć...

He-he... w porządku: krawat i... mina,
Z najlepszych sfer dècadent!
Kawka.. pieniążki.. i peleryna...
Li-te-ra-tur-ka, comment?

JANUSZ HARWISZ.

PRAGNĘ...

---

poświęcam J.

Pragnę twych warg — upojnych warg
pragnę liliowej bieli ciała,
pragnę rozwartych nozdrzy drżenia
ekstazy, szału, upojenia —
gdy jesteś moją, moją cała.

Pragnę twych skarg — dziewiczych skarg,
wstydu co głębię oczów kryje
i drży w namiętnym skurczu dłoni,
co zrumienioną twarz ci kłoni
i w szybkiem tętnie serca bije.

Pragnę tych śnień — nieziemskich śnień
gdy pożądaniem wstydu zbyta,
bezwładna padasz mi w ramiona,
a w sercu lęk dziewiczy kona
i czar rozkoszy życia wita.

Pragnę tych drżeń—bezsilnych drżeń,
gdy leżysz tak bezwładne dziecię
szałem miłości mej pijana,
w kryształnem źródle żądz skąpana,
mój wonny, cudny życia kwiecie.

IRA BLANKA.

PRZY KOMINKU *)

Na kominku bronzowym ogień skrzy się, pali...
Patrzę w płomień, co gore czerwono-niebieski
I układam zeń baśnie, dziwne arabeski,
A za oknem płaczliwie tęsknota się żali...
Fioletowa iskierka błyszczy się i skacze,
Po węgielkach czerwonych, migając wokoło,
Ogień mruczy coś, nuci i trzaska wesoło,
A za oknem tęsknota skarży się i płacze...

IRA BLANKA.

SZCZĘŚCIE.*)

Gdy szczęście do mnie przyszło piękne, jaśniejące
Gdy rozwarło mi wrota kryształne, tęczowe —
Jam spojrzała mu z dumą w twarz, jak w złote
[słońce
I odeszłam z pogardą, w tył rzuciwszy głowę.
A gdy gwiazda zalśniła w górze ponademną,
By rozświetlić promiennie mi życia bezdroża —
Jam odeszła w krainę zła i bolów ciemną,
Gdzie tęsknoty i żalu szemrzą wielkie morza.

ANDRZEJ NULLUS.

DWIE DUSZE.

Znam straszne chwile wolnego konania,
Gdy ołowiana głowa na pierś zwisa
A dusza-branka i dusza-hurysa
Walczą o serce, co w bolu się słania...
— — — — — — — — — — — — —
Znam wizje śmierci, marzenia gromnicze
Dręczą mnie one nocą—do świtania
Więc płaczę przez sen, obłąkany krzyczę,
Bo dusza-branka marzyć mi zabrania...

Dusza-hurysa wnet się budzi we mnie,
Kusi, bym burzył święte ongi znicze —
I obie dusze w nieprzejrzane ciemnie
Mej piersi—wnoszę boje tajemnicze.
— — — — — — — — — — — — —
Znam straszne chwile wolnego konania,
Gdy ołowiana głowa na pierś zwisa,
A dusza-branka i dusza-hurysa
Walczą o serce, co w męce się słania.

*) Na tem miejscu winniśmy małe omówienie: utwory „Szczęście" i „Przy kominku" wyszły z pod pióra młodziutkiej, bo ledwie 15 wiosen liczącej autorki. Sympatycznej poetce, której utwory mieliśmy przyjemność poznać, życzym serdecznie jaknajlepszej przyszłości, i prosimy o wybaczenie, iż poważyliśmy się (sic!) zdradzić jej sekret przed czytelnikami. *RED.*

KONRAD TOM.

Z przekładów.

W letnie noce błękitne idę wązką miedzą,
Kędy twarz mi łaskoczą kłosów rzęsy płowe.
Idę—cichy marzyciel—pijany Bezwiedzą
A wiatr chłodnym powiewem zrasza moją głowę

Nie chcę myśleć ni mówić. W przedziwnem weselu
Idę, czując jak w piersi zachwyt falą rośnie,
Idę naprzód—wciąż naprzód,—jak cygan bez celu,
Jak z kochanką—z Naturą zespolon miłośnie.

(Jean Artur Rimbaud-„Sensation").

JANUSZ IHAR.

PERŁY.

Pereł pragnęła Colombina
Pierot miał płótno w swej kieszeni;
chciał więc dać serce—lecz dziewczyna
bardziej niż miłość perły ceni.

I w tem niezgody tkwi przyczyna,
że Pierot klejnot dać się leni.
Pereł pragnęła Colombina,
Pierot miał płótno w swej kieszeni.

Perła tak cudna, tak się mieni
i tak stal cnoty łatwo zgina.
Zdradzony Pierot płacze w sieni...
pereł pragnęła Colombina.

STANI.

Z ciasnych pęt.

Z ciasnych pęt,
ponury pęd żywota
Wyzwolić chcę.

Więc śmieje się hołota,
Że z ciasnych pęt
Ponury pęd żywota
zamienić chcę
na worek pełen złota —

Nie śmiejcie się! niecnota
ma nie hańbi tylko mię,
gdyż tak, jak ja
tęsknicie wy do złota—

Lecz złoto me
To perły dwie
Dwu oczu żużle zrące.

Więc z ciasnych pęt
ponury pęd żywota
Wyzwolić chcę.

LEO BELMONT.

Bi-Ba-Bo.

„Złem miastem“ nazwał Bartkiewicz Łódź. Miał on po temu aż nazbyt wiele powodów. W tem mieście pycha złotego cielca śmieje się najbezczelniej w rozwarte krwawą rozpaczą oczy nędzy. Miasto kominów fabrycznych i wirów pieniężnych nie ma czasu na sentymentalizm. Łódź jest sercem przemysłowem Królestwa, a przemysł kapitalistyczny nie ma serca. On się nie może bawić w takie głupstwa, jak... serce. Ono nie notuje się na giełdzie, nie ma conta w księgach handlowych.

Łódź niewątpliwie pracuje—i nie tylko ta biedna, wyzyskiwana, podcinana biczem widma głodowego. Pracuje także i ta, która wytęża siły w pogoni za złotem, podcinana gorączką interesów. Jest to fatalne prawo: Kto tu ustaje w gonitwie, pozostaje w tyle. Przychodzą inni, tłoczą go, rzucają na ziemię i depcą. Ztąd Łódź, zajęta tworzeniem przemysłu, podnoszeniem handlu, gromadzeniem *nervus rerum*—pieniądza—nie ma także czasu na oddawanie się bezinteresownej pracy umysłowej, na rozpatrzenie ognisk idei. Zrzeszona na giełdzie w drapieżnych uściskach konkurencji, Łódź rozsypuje się w domach prywatnych dla odpoczynku po wyczerpującej nerwy robocie! Wydaje mi się, że w Łodzi kwitnąć musi życie rodzinne — rzecz piękna, która może mieć jednak stronę odwrotną: ciasnotę dusz, napawających się swoim zbytkiem. Zdaje mi się, że Łodzianin na ulicę wychodzi tylko z konieczności interesu—ztąd nie widać tu niemal nic miłego dla oka: kolosalna szarzyzna, nie posiadająca wdzięku, obca ideałom estetyki.

„Złe miasto!“

A jednak... ja osobiście nie mogę się skarżyć na Łódź. Dla mnie Łódź była zawsze dobrą. I sądzę, że to nie było tylko złudzenie próżnego prelegenta, iż słyszał bicie serc w piersiach swoich łódzkich słuchaczek. Łodzianie mają serca... jeno powszednie życie nie daje sposobności przejawiać się tym sercom. Tak jest! — Hipolit Taine powiada, że z historji wyprowadził tylko jeden wniosek: że ludzie są bardziej podobni do siebie, niż to się wydaje. Sądzić, że Łodzianie są potwornemi okazami bezserdecznych ludzi, gdy mieszkańcy innych miast jakoby bliżsi są ideału—byłoby niesprawiedliwością. Człowiek jest wszędzie egoistą. Iskrę społeczną muszą zeń krzesać dopiero instytucje społeczne. Łódź ze względu na tryb swego życia i na specjalne swoje funkcje w organizmie Królestwa przedstawia tylko większe trudności dla płodnej pracy owych krzesaczy idei. Zagłusza ich głos brzęk złota fortun ogromnych, i werkot maszyn, i pomruk głuchy pracujących ciężko na chleb pod ciężarem stropów fabrycznych i jęk tych, co pewnego dnia lecą w przepaść bankructwa...

Tem godniejszą uznania jest praca twórców instytucji filantropijnych, nawoływaczy do pracy społecznej, ideowych przedstawicieli prasy, piastunów słowa polskiego w teatrze..

A inicjatywa nawet drobniejszej miary zasłużyć winna na uznanie. Dlatego... pozwalam sobie na tem miejscu—po ciężkim wstępie — podnosić zasługi lekkiego teatrzyku Bi-ba-bo, dźwigniętego rękoma dyrektora p. Wydżgi i jego współpracowników. Może to fala wypadkowo dobrego usposobienia, nawianego przez łaskawą na mnie publiczność łódzką—sprawiła, że na chwilę przed wyjazdem zapragnąłem oddać przyjazny hołd scence, która obdarzyła mnie kilku przyjemnemi wspomnieniami.

Ale nic! tu nie tylko kaprys wdzięczności i komplement przyjaznego humoru. Sądzę, że mówi przezemnie duch sprawiedliwej oceny...

Kabaret! — czy wypada mówić o kabarecie? Tak jest! o kabarecie, który nie hołduje drażniącej zmysły pornografji, który służy poczciwemu humorowi, chwilami—ciętej satyrze, bacznej na bolączki miejscowe, który dba o kult pięknego i dowcipnego rymu, który ukazuje iskry prawdziwych talentów aktorskich — o takim kabarecie mówić można i wypada. Nie jesteśmy przecie słoniami powagi, mamy prawo do godziwej, lekkiej rozrywki.

Mała sztuka ueberbrettlów niemieckich i wolnych scenek paryzkich wywalczyła sobie prawo obywatelstwa na Zachodzie. Miło jest widzieć u nas teatrzyk w tym-że rodzaju, który stoi na poziomie europejskim. Takim jest Bi-ba-bo!

Mała sztuka... Tak! to tylko ułamki wielkiego zwierciadła sztuki. Lecz przypomnijmy, jak pięknie mówi Baron w „Childe-Hyroldzie“ o drobnych złomkach rozpryśniętego zwierciadła: w każdym z nich wielkie słońce twarz swą odbija—i mnożą one blaski słońca...

Z tego względu należy się dank tym artystom, którzy w miniaturowych ramach miniaturowej sztuki zwierciedlą blaski satyry, humoru, melodyjnej piosenki, wogóle—talentu.

A na pierwszem miejscu wypada przyklasnąć Kadenowi. Wybaczcie zestawienie: powiada Musset: moja czara jest małą, ale moja własna. To samo rzec ma prawo Kaden. Jego rodzaj na scenie Bi-ba bo wydaje się mały; ale jest oryginalny, jego własny. I — *passez moi le mot* — Kaden w swoim rodzaju jest genjalnym. Jego przedziwnie ruchliwa twarz posiada zdolności imitacyjne non plus ultra. Posiada on przedziwną pamięć min i ruchów, niepospolity dar obserwacji. Komizm jego w obranym rodzaju dochodzi do szczytu. Gdy naśladuje krawca, niepodobna oprzeć się złudzeniu, że ma w ręku nić i igłę. To, co malarz holenderski malował, co Trus opisywał—to ten spolszczony Duńczyk potrafi pokazać. Nie znam sensata, który oparłby się śmiechowi, gdy Kaden trzęsie się w fabryczno-łódzkim wagonie, jedzie do Koluszek, lub śpi, dręczony przez muchy. Podobną g r twarzy na przeciwnym biegunie zna tylko mimika wielkich tragików; podobną grą twarzy bawił ongi tłumy niezrównany na zawsze Żółkowski. Kaden jest latoroślą z tego pnia. Niepodobna wyobrazić sobie większej prawdy i dyskrecji komizmu, niż ta, którą ujawnia, jadąc na krześle—jako Ciniselli. Wierzcie lub nie — ale chwilami krzesło przybiera pod nim widome kształty konia. Tak łudzącą jest owa jazda, wywołująca dopełniającą halucynację.

Należy się też aplauz serdeczny pani Borowskiej. Widziałem ją ongi w Momusie. Była to wtedy poczynająca pospolitość. Nie chce się wierzyć oczom, że widzi się i słyszy tę samą Borowską. Jej głos nabrał tylu mądrych i słodkich tonacyj w swojskiej piosence. Jej gest stał się tak filuternie-zabawny. Jej uśmiech w kształcie serduszka, swobodne ruchy, znaczące spojrzenia prawdziwie wesołych oczu—tyle posiadają w sobie łobuzerki, nie wykraczającej z granic estetycznej gracji. Schowaną pod korcem ludową piosenką polską wkracza zwycięzko przez nią na scenkę i pieści uszy słuchaczy. Wartość produkcji jej i towarzyszy tak jest przekonywująca, że w Bi-ba-bo nie słychać nigdy denerwujących krzyków talerzy i nożów — które przypominają, że sztuka ma tu być tylko dodatkiem do jadła. Poniżająca i bolesna rola artystów, przekrzykujących gwar gastronomii — nie daje się tu zauważyć. Jest tylko teatrzyk intymny, w którym słuchacze śpiewem refrainów współdziałają serdecznie grającym.

Jeżeli mniej rozpiszę się o p. Ursteinie, to nie dlatego, aby jego charakterystyczne i wokalne uzdolnienia zasługiwały na mniejszą uwagę. Ale boję się znużyć czytelników drobiazgową analizą zjawisk, które miłe są dla oka i ucha, ale bledną w moim spisie. Nadmienię tylko, że p. Urstein posiada szczery humor, jest wybornym imitatorem głosów artystów sceny warszawskiej, które naśladuje do złudzenia, i mieni się, jak kameleon, dając jaskrawo różne typy — bądź dorożkarza łódzkiego Szlojmy, bądź andrusa— roznosiciela pisma. Tu znowu święcą tryumf obserwacja i giętkość ruchów naśladowniczych. Jest w takiej zdolności przebierania się w cudze dusze ogromny dar projekcji bogactw typowych świata objektywnego na wrażliwej płycie fotograficznej duszy własnej — dar, tak wysoko ceniony przez filozofów komizmu w rodzaju Bergsona.

Spiesząc ku końcowi, już tylko krótko podkreślę tę swobodę szczerą, właściwą wszystkim Bi—ba—bo—istom, a więc i p. Lawińskiemu deklamatorowi, śpiewakowi i artyście; i pokrótce zaznaczę, że wybredna scena komedjowa nie powstydziłaby się tak odegranej roli bankrutującego w Łodzi Warszawiaka, jaką darzy widzów p. Lawiński.

Sekunduje mu też dzielnie doskonale p. Rosiński, potrafiący również wybornie akcentwać wyszukane rymy Choromańskiego, jak stwarzać typ łódzkiego geszeftmachera w rewietce Frenkla.

Nadmienić wypada äpropos tej łódzkiej revue, że jest ona rewią satyryczną bankierskich postaci Łodzi w szeregu wybornych aluzji, chwytanych w lot przez roześmianą łódzką publiczność. Właśnie w ueberbrettlu jest pole do owej intymnej satyry obyczajowej, na którą nie może sobie pozwolić szersza scena, otulająca swoje zakąszenia formami typów ogólnych — bezimiennych. To zadanie wymaga wiele taktu, aby złośliwość nie przeszła granic przyzwoitości i nie zmieniła wolnej scenki na arenę wycieczek osobistych. Autor *revue* potrafił znaleść tę miarę—i dał zabawny portret handlowej Łodzi tyleż ze znawstwem specjalisty — handlowca, co i z zacięciem zawołanego wersyfikatora.

Harmonijna muzyczka, ilustrująca tak ten utwór, jako też inne piosenki, znajduje wytrawnego wykonawcę w fortepianiście.

Deklamacyjny dar pani Sławińskiej stoi w parze z dobrym gustem, kierującym mniej znane a zawierające się treścią i formą wierszyki. A ten wybór — to rzecz ważna i tu właśnie należy podkreślić zasługę dyrekcji, która jednakowo daleko trzyma się od cieżkiej powagi, nielicującej z bezpretensjonalną sztuką literackiego kabaretu, jak i z karczemną swobodą, służącą nizkim instynktom. Bi—ba—bo ma prawo do pewnej cenności, choć przecie nie jest pensją dla panienek; ale dbać musi zawsze o figowy listek, który nadaje

dowcipowi smaku i usuwa cynizm, bawiący li dusze ordynarne.

Byłbym grzesznikiem przeciw obowiązkom oka i ucha, gdybym zapomniał o jednym z największych powabów Bi—ba—bo — o zjawisku niezwykłem—o oryginalnej córze Hiszpanji, która aksamitem palących czarnych oczu usidliła serce p. Kadena i dzięki wodzom hymenu, nakazującym iść wszędy za mężem weszła na scenkę *Bi—ba—bo,—by* radować wzrok i słuch Łodzian. Pani Carmen de Roche staje się jeszcze bardziej uroczą, gdy w oprawę swoich białych ząbków kładzie brylantowe dźwięki polskiej piosnki — bo potrafiła pamięć i usta Kadyksanki nałamać do obcych dźwięków sercem wdzięcznej cudzoziemki; gdy słyszy się jej wymowę polską i widzi płomień czarnych jej oczu—pomyślałbyś, że na małej scence Bi—ba—bo dzieją się czary, które mogą mieć nawet poważnego słuchacza...

A jeżeli zgrzeszyłem tak bardzo rozpisując się o Bi—ba—bo, to największa część winy tkwi w onych oczach córy południa.

Proszę czytelnika, nim mnie wyklnie, aby zwrócił uwagę na te hiszpańskie okoliczności łagodzące... I jeszcze o coś proszę: to, co rzekłem w tej kwestji, niechaj będzie sekretem między mną a czytelnikiem.

Dobrze?

ZOFJA RYGIER — NAŁKOWSKA.

CNOTA.

Och, ta szalona, smutna bestja człowiek! Jakież pogwałcenia natury, jakież paroksyzmy głupstwa, jakież bestjalstwo idei wystrzela natychmiast, skoro tylko przeszkodzi się jej być bestją w czynie!

(Z gienealogji moralności Nietschego).

Delikatna pani w sukni ze sztywnego jedwabiu przegarniała powoli na kolanach pagórek oberwanych listków jasnej, pachnącej, róży. Patrzyła kolejno na białe palce, drobne okrągłe kolana pod suknią i owe listki złotawe, zaróżowione tylko w tem miejscu, gdzie umarła róża herbaciana miała serce.

Siedzieli oboje na ławce bez oparcia, zrobionej z kamienia, w najniższym kącie parku, gdzie nad białą barjerą rosło już jedno tylko, ostatnie drzewo. Wzdłuż nagiego, powyginanego pnia tego drzewa układał się w oczach cały świat, daleki i kryształowy. W miejscu, gdzie zaczynała się korona, przewleczony był horyzont, jak cienka nitka jedwabna. Cudne, niebieskie niebo wisiało na miękich gałęziach. Poza barjerą, w dole, u stóp kamiennego podmurowania, cicho, przez sen, oddychało w słońcu morze.

— Morze jest zupełnie podobne do nietoperza, bo w dzień śpi, a budzi się wieczorem,—zauważyła pani, nie odwracając głowy do towarzysza, i dalej przegarniała płatki róży na kolanach.

Siedziała w pełnem, białem słońcu, bez parasolki. Cień małego kapelusza sięgał tylko do ust. I gdy mówiła, słońce odbijało się w jej mokrych, spiczastych zębach.

— Obiecała pani powiedzieć łaskawie — poprosił.

— Czy aż taka drogocenna obietnica? —zdziwiła się lekceważąco.

Odpowiedzi nie usłyszała.

— Więc powiem—postanowiła.—Miałam dziś zrana takie objawienie szczególne od losu: że pan jest dobry... Zawiadomienie cudowne z państwa życia... — i uwierzyłam już teraz we wszystko tamto, co pan mówił— — —

— Czy nie jest to ogromnie ładnie z mojej strony—?

— Nareszcie — Ach — tyle dni —

— Zanurzam ręce w słowach pana, jak w kryształowej wodzie morza, kiedy jest południe. I wiem już teraz napewno, że nie przyszedł pan do mnie ze szponami—

Powoli odwróciła oczy od liści i rąk swoich, by popatrzeć na towarzysza. Uśmie-

chnęła się do szczęścia. które było w jego oczach poważnych i kochających, westchnęła cicho do jego ust.

— Nie będę słuchała więcej złych rzeczy, które mówią o panu kobiety. Nie będę przeczuwała zdrady w niebezpiecznych przyrzeczeniach, zaufam pańskiemu sercu, jak sercu rycerza. W dobrą miłość pana otulę się, jak w jasny szal, kiedy mi będzie zimno i samotnie.

Teraz nie patrzyła już na niego, tylko nici spojrzeń rozpinała po dalekiem morzu i niebie, jak złotą siatkę. Nie widząc—czuła poprzez zasłonę dziwnego, niespodzianego zasmucenia, że ukląkł obok niej na białym piasku, delikatnie opasał jej biodra i cicho całuje chłodne palce rąk w podzięce za długo oczekiwane wyznanie. Słyszała szept:

...za to jedno już, że istniejesz... Bo dusza twoja jest dla mnie rzeczą bezcenną... Za to, że mogłem jeszcze uklęknąć przed duszą człowieka. Są w tobie nieodgadnione dostojeństwa i ceny, w męczeńskiem całopaleniu młodości twojej są możliwości cudowne nieprawdopodobnych urzeczywistnień. — Ja jeden — wiem ja jeden za myślami twojemi chodziłem na te krawędzie niepojęte. — Ja wiem wszystko. — On tego nigdy nie ocenił...

Chciała zaprotestować. Ale przytrzymał jej ręce.

— Nie mów, że to nieprawda—przerwał. — Sam przecież widziałem. Tyś nic dotąd nie miała od życia... Nic prócz ofiary... Dobroć twoja jest bezgraniczna— —

Nachyliła się zblizka.

— Nie, nie. Ja powiem prawdę. Powiem o sobie rzeczy, których nie mówię nikomu, rzeczy najprawdziwsze i najgorsze. Właśnie panu powiem, bo panu jednemu ufam — od tego dzisiejszego rana—

— Mów do mnie po imieniu... Mów... że mnie kochasz...

— Słuchaj, słuchaj — — To wszystko, co robię dla *niego* — to wcale nie jest poświęcenie... To wcale nie jest dobroć... Tylko uczucia pierwsze, uczucia proste — mogą być dobre.. A we mnie wszystko rozszczepia się na jakieś moce wrogie i nieznane. Dla samej siebie jestem chaosem. Jestem dla siebie nocą głęboką. Ciało moje jest jakąś tajemnicą przerażającą, większą, niż życie i śmierć. Czasami wsłuchuję się tak z drżeniem w tajemne dzieje siebie, w to państwo straszliwe, istniejące niżej poziomu mej wiedzy. Ach, gdyby odczytać można było bajeczne dzieje ciała w wieczór jakiś wiosenny... Owe niepojęte myślom zamiary, od których ścina się krew, owe projekty potworne, przewrotne konszachty z okrucieństwem losu, porozumienia— — — Świadomość bezsilna świeci się tylko na czole, jak mała gwiazda nad przepaścią, i cienkie, wnikające promienie zapuszcza ze zgrozą w purpurowe czeluście bezimiennych, nieodgadnionych chceń—

— To są marzenia o szczęściu, którego nie znasz...

— Nie, nie. To są zbrodnie... Czasami wydaje mi się naprzykład, że marzę o jego śmierci— — Nie przez zemstę. Nie ze zmęczenia nawet.., Marzę dlatego, że to jest straszne...

— To znaczy tylko, że marzysz o swojem życiu. A jest przecież do życia mniej straszna droga, niż ta śmierć —

— Jaka droga?

— Można odjechać stąd na drugą stronę morza — — —

— Uciec?—zapytała radośnie.

— Naturalnie. Na wodzie nie widać śladów, po których kazałby cię ścigać napewno, aby ci zabrać więcej jeszcze cudnych twoich lat.

— Och—nigdy nie puściłby mnie od siebie.

— Więc go nie pytaj, tylko przyjdź sama. Przyjdź na to samo miejsce dziś wieczorem, zaraz dziś. Zostaw mu wszystko, co jest jego — i przyjdź tylko w tej jednej ślicznej sukni.—Będę gotowy. Zamówiona będzie łódź. Zwykła przejażdżka do najbliższej przystani— — —Powiedziałaś, że mi już ufasz—więc złóż twoje losy słoneczne w rękach moich. Nie zawiedziesz się na mnie nigdy. Pojedziemy do nowego kraju—i od dnia dzisiejszego nie będziesz nieszczęśliwa — — Wierzysz mi?

— Wierzę.

I przyjdziesz napewno?

Po namyśle odrzekła:

— Dobrze. Ale teraz pójdę już do domu. Jest właśnie godzina, o której powinnam wrócić

Oddawna nikt jej już nie całował, więc miała zgłodniałe usta — i pierwsza pochyliła się do pocałunku. Wtedy wszystkie złotawe liście róży spadły na ziemię. Ale rozstali się zaraz i odeszli z tego miejsca dwiema innemi alejami...

Opuściwszy park, szła drogą białą pomiędzy zatopionemi w drzewach i palmach pałacami. Zponad murów, poprzez złocone kraty ogrodzeń przerzucały się jasne gałęzie jakichś krzewów kwitnących. Idąc, uśmiechała się, ale nad głową jej krążyło cicho, jak motyl, zwiewne, nieuchwytne zasmucenie.

Otworzyła bramę swojej willi i weszła po schodach w cienisty, kamienny chłód przedsionka. Dokoła jej świadomości owinęła się natychmiast woń specyficzna i przywlokła za sobą łańcuch asocjacji. Przed oczami zakrwawiły się dzieje konania przez ciąg lat.

Zdjąwszy kapelusz i rękawiczki, cichemi krokami wkradła się do pokoju mę-

ża. Zanim spojrzała, rozeznała nawykiem wielkie, rozdęte ciało na łóżku, bandaże, przechodzące przez środek twarzy i ręce, wzrok umęczony zapuchłych oczów.

— Dziś znowu lepiej, nic nie boli— prawda?—mówiła, pochylona nad łóżkiem. W odpowiedzi usłyszała z trudem wyseplenione słowa:

— Tak długo trwał ten spacer—

— Nie, zupełnie tak samo, jak codziennie.—Pokazała mu zegarek. — Przyszły listy. Czy nie chcesz, żebym ci czytała? Albo pisma? Nie?—

Uśmiechała się dobrotliwie i głaskała rękę męża, nagą powyżej bandażu. Uśmiechała się do straszliwej twarzy starca bez wstętu i nienawiści, chociaż pacałunki tych ust jeszcze wówczas, gdy nie wiedziała prawdy, mogły były i jej ciało naznaczyć zgnilizną i śmiercią.

— Tak, wiem, wiem. Sam jestem winien. Nie miałem prawa brać takiego dziecka. — Pewno modlisz się już, abym jaknajprędzej umarł— — —

— No—zabawny, niemądry — —

— Jakże można— —

Skarżył się na jakąś niezręczność służącego. Zrobiła wszystko sama — cicho i delikatnie. Ujrzała w jego oczach łzy.

— Taka dobra jesteś—rzekł.

— No widzisz— —

— Taka dobra— — — Słuchaj, strasznie mi źle dzisiaj... Nie wyjdziesz już więcej—dobrze?

— Nie wyjdę.

— Przez cały dzień nigdzie?

— Przez cały dzień — zapewniła z uśmiechem.

— Ani wieczorem?

Pomyślała. Wlepiał w nią spojrzenie złośliwe i załzawione, pełne męki.

— Tak. Właśnie i wieczorem nie wyjdę także..

— Ach—taka dobra— —

Uśmiechnęła się znowu.—Czyż to dobroć?

Nie chciał, żeby mu czytała. Kazał jej usiąść spokojnie przy łóżku, aby módz patrzyć na nią bez przeszkody. — Ach — i taka ładna jesteś dziś—wyszeptał jeszcze.

Usiadła posłusznie i wpatrywała się przez okno w bladoróżowe, jak przezroczystość rubinu, chmury brzoskwiń kwitnących: Ów smutek nieuchwytny opuścił ją teraz zupełnie. Była nieruchoma, spokojna i pogodna. Postanowiła bowiem naprawdę nie pójść wieczoru owego nad morze, postanowiła bezpowrotnie.

Nie był to żal za domem, który chciała porzucić, bo gdy tylko pomyślała przelotnie o tej ucieczce, serce mdlało w niej z szalonej radości. Nie był to także lęk przed drugą stroną morza, bo już zbyt dawno śniła o takiej podróży.

Człowieka tego kochała już wtedy, nie wierzyła nawet w możliwość jego miłości. Pokochała go dziko i słodko w chwili, gdy uciekając z pokładu statku przed burzą, ujrzała jego oczy orle, zawieszone na chmurach. Wówczas to po raz pierwszy zapragnęła popłynąć z nim po najgroźniejsze, najcudniejsze przygody świata.

A przecież dziś — gdy przez uwierzenie w jego miłość zdjęła mu z głowy hełm władcy i serce tajemnicze obnażyła nieodpartej zbroi, gdy szczęście radosne trzymała już w dłoni, jak ślicznego ptaka — dziś właśnie postanowiła zostać na zawsze przy mężu — choćby miał jeszcze konać tak straszliwie przez długie lata— — —

Postanowiła—zdobywszy już—odrzucić rzecz jedyną, jako zbyteczną, odrzucić jeszcze i tę rzecz ostatnią. Cóż znaczy kropla malutka nieskończonej wody morza — —? Odchodząc już można uśmiechnąć się do odrzuconego kwiatu i uśmiech zabrać ze sobą, chociaż kwiat zostanie... Tylko życie rozsunie się szerzej jeszcze, niby zasłona na sznurach jedwabnych, cicho w proste fałdy układająca się bokami. Ach — i nie jest już straszne to, co widać w tej luce pionowej, szerzącej się nieskończenie... Jej kraina w głębokościach świata...

Na szyi giętkiej odwrócić powoli tęskniącą głowę—od szczęścia. Ach, tam, po drugiej stronie wyrzeczenia, jakaż przepaść cudowna, pełna przerażająco rozkosznych, rubinowych tajemnic— — —Nachylić się, uklęknąć na brzegu, mdlejącemi rękami robić bukiety ze skamieniałych tutaj, drogocennych kwiatów ziem, poprzez ostatnie łzy rozstania patrzeć w te rozżarzone, gwiażdżące się klejnoty. Promieniami ich gwiazd żeglować niewidzialnie po nieobjętych kołach nieskończoności —

Można.—Przebiwszy serce—sztylet zostaw, w głębi delikatnego ciała; z rany nie wypłynie ani jedna kropla krwi...

Bladoróżowe chmury brzoskwiń za oknem chwiały się miękko w wietrze niesłyszalnym. Patrząc długo, uczuła znów na sobie te spojrzenia, pełne niepokoju. Zwróciła się ku mężowi naprzód twarzą, a później oczami i uśmiechem.

— No, napewno nie pójdę—ani dziś, ani jutro— —Dopóki tylko będziesz chciał—

Uspokoił się znowu. Uwierzył.

Teraz i ona wiedziała już napewno, że temu rozpadającemu się ciału wierna będzie do końca. W imię łaskawej woli złożyła sobie teraz ślub, że zawsze tak czuwać będzie przy łóżku chorego, pośród uśmiechów marząc drapieżnie o jego śmierci.

Och — nie poświęcenie było w tem

ani ofiara, jak myślał tamten. Nie dobroć ani litość. Nawet nie pamięć niezatarta straszliwego faktu, że ten człowiek pierwszy nauczył ją miłości.—Była to jakaś dzika słodycz uśmiechania się z rozpaczy, radość głęboka, zrodzona w tajemnych ciemnościach organizmu, przerażająca rozkosz wywarcia na sobie samej aktu okrucieństwa — — —

A ze szczególnego zamętu wszystkich tych rzeczy, z braterstwa łaski chaosu wynikał tryumf nieobjęty, poczucie mocy i władzy, zbliżenie się najzuchwalsze, zbliżenie się ze skowytem żądzy do spraw bezimiennych i wiekuistych, wyczuwanych w wiosenne wieczory, jako tajemnica życia —przerażająco powabna, straszliwie cudna.

LEO BELMONT.

Fabrykant, który nigdy nie wyzyskiwał robotników.

Wrzawa rosła...

Strajk trwał czwarty tydzień.

Odzywały się głosy groźne. Wyrzucano fabrykantowi, że od dwóch lat fabryka rozrasta się, kwitnie, że przynosi zyski stutysięczne, że rodzina fabrykanta co roku sześć miesięcy spędza na Rivierze, że on sam posiada pałac, dwudziestu lokai, powóz, automobil, ma pełne piwnice, sprowadza dla żony i córek najmodniejsze suknie z Paryża, pali najdroższe cygara hawańskie—a przez cały ten czas nie pomyślał nigdy o podwyższeniu płacy robotnikom nawet o szeląg...

Milioner — pan Wolf Szwindelberg przypatrywał się z kwaśnym uśmiechem ubrylantowanym swoim palcom i ciężko oddychał. Chwila stanowcza nadchodziła. Fala rozgorączkowanych twarzy i zaciśniętych pięści przysuwała się ku niemu.

Wreszcie zdecydował się:

— Stać!—krzyknął—wybierzcie *jednego* delegata, najmędrszego i najuczciwszego z pośród was. Pomówię z nim na osobności. Ale niechaj to, co on postanowi po rozmowie ze mną — będzie wyrokiem dla wszystkich.

Zgoda? Przyrzekacie?

— Przyrzekamy i uszanujemy święcie! —odwrzasnęły wszystkie głosy...

Nie potrzebowano naradzać się długo. Wybór padł na Kowalczuka. On prowadził strajk... On najlepiej rozumiał masowy interes... On był najwymowniejszy, zagrzewał słabnących, prowadził pertraktacje... Miał głowę na karku... Pracował w kilku fabrykach westfalskich i poznańskich,.. znał się nawet trochę na buchalterji... na wiecach obnażał tak zwane przezeń „kradzieże czasu roboczego przez krwiożerczy kapitał".

— Niech idzie gadać Kowalczuk!

Fabrykant uśmiechnął się. Był pewny, że takim będzie wybór. Ba! robotnicy dodali: „Kowalczuk w ogień pójdzie za naszą sprawę"...

. . . .

Zbadawszy dobrze, czy nikt nie podsłuchuje za drzwiami, milioner zasiadł w wygodnym fotelu i wskazał Kowalczukowi miejsce naprzeciw siebie przy wspaniałem secesyjnem biurku.

Obejrzawszy gruntownie paznokcie, odchrząknął i ozwał się w te słowa:

— Kowalczuku, słuchasz mnie dobrze?

— A, panie Szwindelberg!... jak można inaczej?

— Więc uważasz pan... w swoich przemowach przedewszystkiem zarzucałeś mi, że ja *łatwo* zdobyłem swój kapitał... Było to nieuczciwie... No! nie oburzaj się... Zarzut pochodził z twojej nieświadomości... I dla tego wybaczam ci... Spójrz teraz proszę, na tę szafę..

Oczy Kowalczuka skierowały się ku oszklonej szafie w kącie gabinetu.

— Widzisz... ta szafa jest napełniona papierami od góry do dołu... Są tam akta spraw moich... Trzy razy urządziłem *plajtę*... raz w Poznaniu, raz w Odesie i raz w Łodzi, zanim mogłem założyć fabrykę w Warszawie... Wspomniałeś, że zapewne kapitał odziedziczyłem po rodzicach... Kłamstwo!... Mój ojciec prawie wszystko przegrał na giełdzie... Ja musiałem się dorabiać *prawie* wszystkiego temi dziesięcioma palcami... Trzy razy groził mi kryminał... Książki — *nie* były w porządku... Czy ty wiesz, Kowalczuku, jaka to robota napisać nowe książki... parafowane... za cały rok w

ciągu kilku dni i nocy?... Dość powiedzieć, że moi adwokaci za dowiedzenie, że trzy razy bankrutowałem *nieszczęśliwie*, wzięli odemnie 40 tysięcy rubli. Jednemu musiałem dać 20 tysięcy, t. i. o 10 więcej nad umowę, bo w samym środku sprawy cofał się i obiecywał, że dowiedzie inną drogą (nie jako mój obrońca), iż jestem więcej złośliwy, niż nieszczęśliwy bankrut... Mój kapitał zdobyłem w krwawym pocie czoła...

Kowalczuk głowę pochylił i mruknął coś niezrozumiałego. Fabrykant ciągnął:

— Dalej, powoływałeś się na to, że moje maszyny posiadam dzięki *waszej pracy*... Znowu skłamałeś!... Moje maszyny są wszystkie z zagranicy... i zawdzięczają swoją taniość, która pozwala mi zarabiać na produkcyi, mojej pomysłowości... Przychodziły przez dwie komory, jako części... cło jest wówczas tańsze... A tu, czy widzisz to?—Wyjął z szuflady fotografję młodego, przystojnego mężczyzny i pokazał Kowalczukowi.

— To jest fotografia mojego najlepszego przyjaciela!... Tak jest!... Służy na komorze... Czy wy wiecie, mój Kowalczuku, ile nocy nie dosypia ten człowiek, aby wymagania Ustawy celnej pogodzić z przyjaźnią dla mnie?... i nie złapać się!... Pod jaką grozą żyje długi rok?... A tu—(w tem miejscu uderzył po *Hauptbuchu*)—obaczysz co mnie ta przyjaźń kosztuje...

Otworzył księgę... Kowalczukowi długie szeregi cyfr zaroiły się w oczach...

— To wszystko zapisane na *Haushaltung*... utrzymanie domu... Ale to są wydatki na „przyjaciela domu handlowego"...

Kowalczuk długo ślepił w „*contach*"... Wtem gową pokręcił z determinacją, jął pięścią bić po suknie biurka i szybko rzucał wyrazy.

— Pan Szwindelberg zawraca mi gitarę!... To jedno, a tamto drugie!... Tu rozchodzi się o fabrykację!... A fabrykacja—to nasza praca... nasza praca...

— Uspokójcie się, Kowalczuku—rzekł milioner z gestem pełnym godności... Oto na tamtym stole masz wszystkie próbki lekarstw, które wyrabiamy wspólnie w mojej fabryce na porost włosów, na nieuleczalny reumatyzm, na zastarzałą neurastenię, na przyrodzoną głuchotę, na pocenie się nóg i na niepłodność... Czy wy myślicie, Kowalczuku, że ta farba w tych różnokolorowych flaszeczkach tak drogo kosztuje?... A może woda?

— Przypuśćmy—bąkał Kowalczuk—że największą wartość ma wynalazek. Ja wiem, woda nic nie kosztuje—farba bardzo mało... Ale my pracujemy przy tym wynalazku tak samo, jak pan... I my mamy prawo zarabiać razem z panem na cudzej idei, bo bez nas, bez pracy naszych rąk, te ciecze, proszę pana, nie nabrały by swojej pożytecznej mocy... My wciskamy treść odkrycia, ideę, siły natury w taką formę, że, proszę pana...

— Kowalczuku, jesteście bardzo głupi —wyrzekł cicho, ale z wielką precyzją miljoner — jesteście bardzo głupi, chociaż niemieccy studenci nauczyli was filozofować według socjalistycznych książeczek...

— Panie Szwindel—*man*!... berg!...

— Kowalczuku! powtarzam raz jeszcze, jesteście bardzo głupi... Te wszystkie lekarstwa to... to... *jedno i to samo*... Woda... rozmaicie farbowana... A to jest *moje* odkrycie, że to można sprzedawać, jako pożyteczne środki... Wy robicie... *nic* A to *nic* ja wymyśliłem... ja je wynalazłem... i to moje *nic* ja sprzedaję z zyskiem... dzięki mojej pomysłowości, dzięki umiejętnemu wyszukiwaniu rynków zbytu dla tego *niczego*, które my niby fabrykujemy... Rozumiesz?

Kowalczuk zbladł.

— Ależ to jest o-o-oszustwo — bełkotał.

Milioner wyprostował się dumnie:

— To jest rzecz mojego sumienia...

I tu głos jego nabrał tonów żałosnych:

— A kto z tego powodu cierpi, jeśli nie ja... Co roku jestem cały *jeden* dzień w synagodze... i poszczę... A kto z was pości w mój *sądny* dzień?... Dotychczas braliście pieniądz za swoją *pracę*, bo za te głupią mechaniczną pracę mieszania wody z farbą, korkowania buteleczek, pakowania do pudełek i robienia niepotrzebnych rękoczynów około maszyn dla upozorowania fabrykacji—to otrzymujecie akurat w sam raz... Jedna kopiejka więcej—i poczniecie brać zysk z oszustwa!... i zostaniecie *nieuczciwymi ludźmi*!... Czy to się godzi z waszem sumieniem i z sumieniami tych prostych ludzi, którzy was wydelegowali, odpowiedzcie, Kowalczuku?!

. . . .

Kowalczuk z głową pochyloną, na palcach, wyszedł przed próg fabryki, gdzie kotłowała się ciżba ludzka.

— Dzieci moje! rzekł, kładąc rękę na sercu—fabrykant ma słuszność... Nam nie wolno brać więcej...

Strajk się skończył...

We fabryce zakipiała na nowo robota.

WACŁAW ORWICZ.

Z CYKLU „DUSZA".

Odwieczny bój.

Czysty jak kryształ, pełen nadziei, miłości i wiary, opromieniony blaskami niezachodzącego słońca, kroczył on przez krainę wiecznego udoskonalenia ku nieuchwytnym wierzchołkom nadziemskiego bytu. Ideał mu było na imię. Szedł nieomylnie, nie wiedząc skąd idzie i dokąd go droga prowadzi, a obdarzony siłą iście ognistych zapałów, jak anioł biały, wznosił się coraz wyżej i wyżej..

Wtem, mocą myśli złowieszczych dławiony, stanął Ideał nieruchomo, stał długo w głębokiej zadumie i w końcu do siebie temi rzecze słowy: „Niebezpieczeństwo mi zagraża. Stoję nad przepaścią, gdzie wróg mój zacięty się kryje, gdzie obłuda, fałsz i cierpienie ściekają potokami, gdzie Życie jest królem. Sam jestem i sam do walki pójdę żwawo! Nie z życiem mi się bratać! Albo zwyciężę i wonczas Życia władcą się stanę, albo śmiertelnym ciosem rażony zginę na wieki!"

Zaledwie zdołał Ideał te słowa ostatnie wymówić, jak coraz raźniej z przepaści rozlegać się poczęły odgłosy tłumu, tłumu, który w pełnych sarkazmu okrzykach nie szczędził mu wyrazów pogardy i potępienia.

„Tak, tłum mię potępił i znienawidził" — szeptał zcicha Ideał do siebie i w melancholijnem upojeniu w stronę przepaści spoglądał bez końca...

. . . .

Okrzyki nie ustawały i zdawało się że z chwilą każdą tłum się zbliżał do Ideału by ostateczną z nim stoczyć walkę...

I znienacka wysunęła się z przepaści tajemnicza postać zgrzybiałego starca. Tym starcem było Życie.

Ukrywając w głębi kłamstwo i zdradę, z miną szyderczą na twarzy stanęło Życie przed Ideałem i rzekło:

— Zdala przychodzę, by dłoń moją, Ideale, do ciebie wyciągnąć. Chcę wiecznym twoim być towarzyszem i twoimi kroczyć śladami.

„O, precz mi z oczu! Zbłądziłeś chyba haniebny zdrajco? Nie jam dla ciebie przyjaciel!"

— Czemu złośliwie odpychasz mię od siebie?—pytało Życie—wszak wiesz, Ideale, że wszystko jest moje...

„Nie! Pozbawię się bodaj własnego istnienia, ale nie będę twoim! Usuń się z drogi, nędzny starcze, albo pierwszy na ciebie mieczem uderzę!"

— Ty mieczem pierwszy uderzysz na mnie? Ha, ha, ha! Jam jest gorycz, ból i zgnębienie! Jam—zwycięzca tłumu! Słyszysz? Jam potężną siłą obdarzony i takich śmiałków, gdy przyjdzie potrzeba, zmiażdżyć potrafię...

„Dosyć już tego. Niechaj walka krwawa siły nasze zmierzy!"—wykrzyknął Ideał i, jakby nadzieją tryumfu łudzony, z odwagą rzucił się na starca..."

. . . .

I zażarta rozpoczęła się walka. Nie słychać było wprawdzie dźwięków oręża, ale walka to była straszniejsza od najkrwawszych bojów. Długo walczyli dwaj przeciwnicy i póty wzajemnie nie ustawali, aż przy radosnych okrzykach tłumu padł pełen nadziei, miłości i wiary, padł opromieniony blaskami niezachodzącego słońca, padł Ideał pod ciosem Życia.

SPROSTOWANIE.

Autorem wiersza „Pragnę" jest p. Janusz Harnisz, nie zaś jak wydrukowano mylnie — Harwisz, co prostujemy na tem miejscu.

Spis rzeczy, zawartych w „Życiu Łódzkiem".

Druk Jana Grodka, Łódź, Widzewska 106a

NAPAD NA ŁÓDŹ

(Ballada fantastyczna)



Dokąd tak pędzi orszak rycerzy
Chełmów spuściwszy czarne przyłbice?
Czyli na miasto jakie uderzy?
Straszne i krwawe ich tajemnice.
Przebóg, kierują wszak w stronę *Łodzi*
Wściekłe w podniebnym locie rumaki —
Słońce z za lasu kominów wschodzi,
A bieg ich dziki zawsze jednaki...
Już są! Już w *Dzielną* szybko wjechali
Zmarli hoplici, dziwni przybysze,
Mogilnym pyłem okryci cali...
Któż *Lodzermenszów* przestrach opisze?
Rojno i zbrojno pod *numer czwarty*
Rycerskie mężne suną gromady,
Już zeszli z koni, szykują warty
Przed sklep sam *Salwa* wychodzi blady!
Błaga o litość i prośby korne
Dowódcy hufu wojów przekłada.
Cisza śmiertelna! Rzesze upiorne
Skupiła w sobie krótka narada.
I wreszcie ciszę przerwał grobową
Donkiszot, władca rycerzy hufca.
Odkasłnął, kiwnął spróchniałą głową,
Takiemi słowy rozpoczął mówca:
My tu z zaświatów, z Hadesu toni.
Z za Styksu mętnej i zimnej fali
W zbroi prastarej, w tysiące koni
Do Ciebie *SALWO* przez bór jechali;
Mówił nam Skuba, szewczyk krakowski,
Co w piekle lokum ma z wiktem stałe,
Że ty pochodzisz z jednej z nim wioski
I ludzie za kunszt głoszą Ci chwałę;
Ponoś artysta — w kwietne bukiety
Umiesz połączyć wonie i barwy.
W piekle kwiaciarza niema niestety
Więc tu, do Ciebie, przybylim larwy.
Jeśli nam pięknych tysiąc wiązanek
Ułożysz nocą z szkarłatnych kwiatów,
Otrzymasz od nas, nim błyśnie ranek
Skórzane wory złotych dukatów.
Lecz strzeż się, *SALWO* podejść nas zdradnie,
Strzeż się straszliwej zemsty, człowiecze!
Kto nas obraził, ten trupem padnie,
Bo kędyż słaby człowiek uciecze?
Lecz *SALWA* spisał się z czynu gracko
Na ranek skończył tysiąc bukietów
Brzydzi się kłamstwem, gardzi zasadzką...
No, zresztą — bał się ostrza sztyletów!!!
Lecz bukiet — cacko, jak uczą wzory
Ułożył kwiaciarz dla Dulcynei,
Rycerze płacą pełnemi wory
I giną we mgieł sinych zawiei.

— — — — — — — — — —

Za zysk, zdobyty sztuką a pracą,
Otwiera *SALWA* filji niemiara,
Teraz *Łodzianie* dobrze mu płacą —
— Zawsze klientów po sklepach chmara.
Ballada urok dziwny posiada
SALWY lśnią w słońcu złote litery
I *Narzeczona* każda jest rada,
Gdy *Amant* pójdzie na *DZIELNĄ CZTERY*

Koniec.

Wydawca Edward From. Druk Jana Grodka, Łódź.